owski

nie

897

JAN HUSKOWSKI

CIENIE

SZKIC POWIEŚCIOWY

LWÓW
WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA“
SKŁADY GŁÓWNE: LWÓW — KSIĘGARNIA AKADEMICKA
WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA
NEW-YORK — POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.

CIENIE

JANA HUSKOWSKIEGO

WYDANE POPRZEDNIO:

PO DRODZE. Poezye. Lwów 1907.
SPOJRZENIA. Nowele. Lwów 1909.
DZIEŁO. Dramat w 3 aktach, wystawiony siłami Koła dramatycznego we Lwowie d. 9. marca 1911.
W PŁOMIENISKU. Nowele i poezye prozą. Lwów 1912.

JAN HUSKOWSKI

CIENIE

SZKIC POWIEŚCIOWY

LWÓW. WYDAWNICTWO „KULTURA I SZTUKA“
SKŁADY GŁÓWNE: LWÓW — KSIĘGARNIA AKADEMICKA.
WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA.
NEW-YORK — POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.

I.

W duszy Teresy szalała burza: rozwierały się przed nią nieznane perspektywy życia.

Nieprzerwanym zaś szeregiem przeżyć i zdarzeń wrzynała się w nurt jej wspomnień niedawna jeszcze przeszłość.

Jeszcze dziś potrafiłaby czuć się maleńką dziewczynką, której wnętrze dźwięczy piosnką dziecięcego szczęścia, mąconego jeno tu i ówdzie dąsem krnąbrnych porywów, albo łzami fizycznego bólu, kiedy w potknięciu o kamień tłukło się kolanko, kiedy po zabawie z kotkiem niejednokrotnie bolesne goić się musiało zadrapania, kiedy jedyną na niebie żywota chmurką był surowy, naganny rodziców wzrok.

Jeszcze dziś potrafiłaby być płochym podlotkiem, swarliwą pensyonarką. Pamięta: nieco łobuzerskich igraszek, filuternej swawoli, porywów przyjaźni „aż do śmierci“, sentymentalnej egzaltacyi na tle czytanek o złotowłosym królewiczu, niepokojących westchnień na myśl o przeczuwanych rozkoszach życia, które ono w łonie swem ukrywa zazdrośnie przed wzrokiem niewiniątek.

Teraz stoi przed nią kwestya uniwersytetu.

Na ścieżaj to otwarte wrota wszechrzeczy. Tu początek przełamywań się, szybkich, gwałtownych uświadomień, nieustających burz i żrąca tęsknota wypogodzeń.

Objawiła swą wolę przed matką.

Stara pani Gońska zmartwiała z przerażenia.

— To są chyba żarty — rzekła.

— Nie, to jest moje nieodwołalne postanowienie.

— Z twojemi kwalifikacyami i w twoim wieku panny myślą o przygotowaniu się do stanu małżeńskiego, nie zaś o uniwersytetach, na które uczęszczają tylko żydówki.

Teresa była tą bezwzględnością oburzona.

— Powróćmy do suchego faktu: czy otrzymam pieniądze na studya?

Powieki staruszki zadrgały nerwowo.

— I ty śmiesz stawiać kwestyę na ostrzu noża? Jakaś ty niedobra! Za tyle lat opieki...

— Spełniliście tylko wobec mnie swój obowiązek.

— Oto wdzięczność! — stara pani rozpaczliwie opuściła ręce. — Zobaczymy, jak panna będziesz wyglądała, gdy powiem o wszystkiem ojcu. Gdyby zgodził się na zachcianki takiej pannicy, której zachciewa się uniwersyteckich młokosów, to byłby chyba koniec świata!

Teresa, nie spodziewając się znowu tak

rychłego końca świata, odeszła, aby w odosobnieniu uspokoić podrażnione nerwy.

O zmierzchu zawezwał ją do swego gabinetu ojciec. Zrazu ogarnął postać wchodzącej ostrem, przenikliwem spojrzeniem. Tkwiła w niem pewna doza ironicznej ciekawości, czy niedowierzania, a jednocześnie świeciło blaskiem wstrzymywanej wysiłkiem woli przychylności.

Na widok tych mądrych starczych oczu, w których tak różnorodne czaiły się odcienie uczuć, przystąpiła do ojca z wyrazem ujmującego onieśmielenia. Jednocześnie na wargach pana Gońskiego wykwitł uśmiech ogromnej sympatyi — — i wzrok obojga w niemem wzajemnem zrozumieniu spotkał się promieńmi swych głębin. Była to owa rzadka, szczęśliwa chwila natchnień, kiedy dusze ludzkie w obnażeniu swej najdoskonalszej istoty ujawniają się przed sobą li-tylko na krótkie momenty.

W przypływie radosnego wzruszenia pierś Teresy wydała głębokie westchnienie.

Starzec nagle spoważniał, z niechęcią przywołując się do stanu równowagi.

— Więc ty naprawdę myślisz o tem? — zapytał z pewną frasobliwą manierą.

— Tak — potwierdziła cichutko.

— Miałem początkowo zamiar odpowiedzieć ci krótko i węzłowato: nie. Ale kiedyś weszła, zniewoliło mnie coś do powstrzymania

się przed ostateczną decyzyą. Są chwile, w których się poznaje, czy ten lub ów człowiek ma czułą i rozwiniętą duszę. Ty, choć wyrzekłaś dotychczas jeden tylko wyraz, teraz dowiodłaś tego. Odczułem cię, Tereso. Możesz liczyć na mnie.

Chciała go pocałować w rękę, lecz nie pozwolił na to.

— Objawy czci czy uznania nie powinny przejawiać się w zewnętrznych efektach. My, ludzie dzisiejsi, posiadamy już mnóstwo wewnętrznych danych na odkrywanie stanu naszych uczuć i myśli. Czcij, ale nigdy ślepym odruchem fizycznym.

Oczy młodej dziewczyny rozjaśniały blaskiem radosnego zdumienia.

— Ojcze, ojcze.... ja nie wiedziałam.... ja nie wiedziałam....

Zatchnęła się spazmem wzruszenia.

Popatrzył na nią tkliwie.

— Nikt do mnie jeszcze tak nie przemawiał nigdy, nawet ty sam, ojcze . . .

— Bałamuciła cię dotychczas pozorna moja surowość. Zważ jednak, że byłaś na to zamłoda, abym mógł z tobą mówić tak, jak dzisiaj. Poznaliśmy się więc może trochę zapóźno, ale to nic nie szkodzi. Dobre nie przepadnie. A jeśli było w tem nieco naszej wspólnej winy,

tośmy ją przemazali pięknem chwili wyjątkowej, którą przeżyliśmy dzisiaj.

Na wypogodzonem czole Teresy spoczęły pieszczotą szlachetnego pocałunku drżące wargi ojca. Wyrwało się jej z piersi podobne pierwszemu westchnienie.

Treść owej chwili spointowała się młodem, krystalicznie przezroczem poczuciem szczęścia. Bowiem w narodzinach uczucia tkwi — szczęście.

— Teraz do rzeczy — począł Goński.— Pomimo oporu ze strony matki, pojedziesz na studya. Oto moja ręka.

W uścisku ich dłoni mieściło się wszystko.

Rzekł jeszcze starzec:

— Pamiętaj o jednem: idąc manowcami życia, staraj się utrzymać choć w części na poziomie chwil wyjątkowych. Rzecz to trudna, ale warta ofiar i zachodu. W godzinę zwątpień lub rozprężeń na zło zbliż się i odsłoń przedemną ból swej klęski, a znajdziesz we mnie zawsze ratunek i radę.

Opuściła gabinet ojca w przeświadczeniu, iż w bezustannem podnoszeniu ducha tkwi sens najdoskonalszych zadowoleń.

Ostatnie dnie pobytu jej w domu wyryły w jej pamięci długotrwałe wrażenie. Atmosfera, jaka nagle zapanowała, syciła bogactwem harmonii i przejawami mądrej uczuciowości. We wszy-

stkich domowników wstąpił jakiś dobry duch. Przeżywało się godziny za godzinami szczęśliwie i spokojnie w sytem odczuwaniu rosnących wypuklizn intelektualnych i dostojnem samopoczuciu. Zanikły wszelka szarość i martwota.

Kto dokonał tego cudu?

Ktoś niewątpliwie silny, dobry i mądry.

Teresa widziała w tem wszystkiem dotknięcie ręki ojcowskiej, która, prócz tego, ją samą otoczyła teraz pieczołowitością mądrej opieki, rozsypując naokół niej hojnie skarby dóbr duchowych. Nawet stara pani Gońska miała w oczach zrozumienie rzeczy i jasność wewnętrznego promieniowania, miast cieni udręk i niepokoju.

Wiedział starzec, co dla córki, w której niespodzianie głębsze odkrył wartości, stworzyć należy, aby pchnąć ją po linii normalnego rozwoju.

W przeddzień wyjazdu, będąc na spacerze, spotkała Teresa na przydrożnej ścieżynie płaczącą kobietę wiejską. Podeszła do niej.

— Czemu to płaczecie? — spytała.

— At, nic, proszę panienki, tylko tak, aby lżej było człekowi — odparła wieśniaczka, trąc oczy brudnym rękawem kaftana i siląc się jednocześnie na uśmiech.

— Coś wam jednak dolega...

— Ta niby dolega, ale się przecie bez to nie obwieszę.

— Zdaje mi się, że was ktoś pobił; macie siniaki....

— A juści, pobił mnie mój.... A bo to raz. I życie by ze mnie wytrząsł, gdybym się dała.

Teresa przyjrzała się uważnie jej niezdrowej, wynędzniałej twarzy, do której przywarł martwy wyraz przygnębienia.

— I zdrowia wam zapewne brak.....

— Oj, brak!—stęknęła.—Sterał, zniszczył mnie bez to bicie.....

— A macie wy jaki grunt?

— Jest ta drobina, ale jeno tyle, że ledwo można wyzipać. Dzieciska do cna nam zmarnieją.

— Dlaczego mąż się znęca nad wami?

— Za to, że mu chlać wódki nie przyzwalam. Jak jest jaki grosz, to chowam. On wtedy bije. A tu ledwo że starczy na chleb i mleko, i to nie zawsze.

Teresa tak, żeby nikt nie zauważył, wsunęła jej szybko w dłoń banknot pieniężny i, zanim osłupiała kobieta zdołała pojąć, co się stało, oddaliła się, kierując z pośpiechem swe kroki w głąb niedalekiej cienistej alei ogrodu.

Siłą woli tłumiła w sobie nadmiar dziwnego wzruszenia, aby tylko nie wybuchnąć płaczem, jakkolwiek byłby to płacz dobry, uzdrawiający.

Nagle ktoś miękkim ruchem całej postaci

delikatnie otarł się o nią z pewną jakby narzucającą się pieszczotliwością.

— Panienko droga!

Był to szept, drgający cichym spazmem zachwytu i tych najlepszych uczuć, których nigdy nie wypowiadają usta.

Głębią swych onieśmielonych oczu Teresa popatrzała w mieniącą się od wzruszeń twarz prostej kobiety. Uczuła potrzebę wyjaśnienia przed nią sprawy hojnej jałmużny.

— Przyjmijcie te pieniądze, bardzo was proszę. Przynajmniej o tyle stańcie się silniejszą od swego męża.

— Bóg zapłać. Ale pewnikiem silniejsza ja będę od niego, jeśli przysłużę się tym groszem Bogu i ludziom. Wie panienka, jest tu w naszej wsi pogorzelec. Leży chory, bo go bardzo poparzyło, jego babę także. Nędza. A dzieci chmara. Zaniosę ja mu te pieniądze na odbudówkę i powiem, że niema krzywdy na świecie, którejby sam Bóg, albo przez ludzi tak dobrych, jak na ten przykład panienka, nie przychodził w pomoc.

— Dobrze. Podajcie mi dłoń.

Gruba, przeżarta ziemią i pracą dłoń spoczęła w niedołężnym uścisku w dłoni Teresy; był to jednakże uścisk szczery, wzruszający.

Na niebie stało uśmiechnięte promienne słońce. Całą przestrzeń rozpierało tchnienie

dobrotliwej potęgi, wieszczącej o pogodzie świata. Każda trawka, krzew, każde drzewo zdawało się coś o tem wiedzieć. Jakby mówiły do przechodnia: „Podejdź, człowieku, piękny, jak my! podejdź i uszczknij z nas jeden listek na pamiątkę"....

Teresa poszła do domu przygotowywać się do jutrzejszego wyjazdu.

II.

Minęło trzy lata.

Wir życia uniwersyteckiego momentalnie porwał i uniósł na grzbiecie swych fal Teresę. Wszystko, z czem tu w duszy przybyła, zostało rychło z niej wymiecione. Przeszła po niej stopa nowego życia i czasu, co grzmiał namiętnie pieśnią burzy. Inne walory narzuciły się jej umysłowi z jeszcze bardziej suggestywną siłą, łamiącą wszelkie ustalenie. Wyzuły ją jakby prędko z jej starego jestestwa, nadając jej psychice odmienne kształty. Brnęła naoślep w tajemne chaszcze, deptała po szlakach nieznanych ścieżyn, haszyszując się ziarnem nowej treści,

które pełnemi garściami sypało pod jej stopy życie.

Na tle tych przemian i dokonywającego się w niej przełomu zrodziła się w jej duszy unosząca, jak orkan, miłość. Objęta jej płomieńmi, szła w krainę świętego ognia, który, zająwszy w całości pierścień widnokręgów, zamknął nagle przed nią wszystkie drogi, prócz jednej drogi miłości.

Ekstazy szalonych napięć, nieugaszone tęsknoty, zjawy rozgorzałej wyobraźni, wszystko to popychało ją w bezpamiętne samooddanie się.

Przedmiotem uwielbień młodej panny był Stefan Kosławski, literat. Uchodził za bardzo zdolnego, w pewnych nawet sferach cyganeryi literackiej miał opinię wybrańca, przyszłego odkrywcę nowych dziewiczych pokładów treści w niewiadomym jeszcze wymiarze rzeczywistości.

W uzewnętrznianiu tych nieupodstawnionych jeszcze sądów tkwiła nadzieja, iż z czasem Kosławski stanie się niebezpiecznym umysłowcem, którego potem zwarta masa zwolenników wysunie na czoło ruchu umysłowo-literackiego przeciwko pewnemu komuś, co powiedział i dokonał już bardzo wiele. Był to ponoć nieustraszony żeglarz, rozsadzający minami rafy i skały, którego stopy z odkrytego przezeń wybrzeża dotychczas nie zdołała strącić niczyja dłoń.

I

Kosławski był to człowiek w całem tego słowa znaczeniu swobodny, niekrępujący się niczem, unikający najskrupulatniej wszelkiej konwencyonalności. Artysta w każdym calu, rozwichrzony, lekkomyślny, a przytem głęboko uczuciowy. Mężczyzn pociągał inteligencyą, kobiety urodą. Silny brunet, o twarzy śniadej, płomiennych, dużych czarnych oczach, słusznego wzrostu i zgrabnej, proporcyonalnej budowy ciała, na każdym musiał wywrzeć dodatnie wrażenie. Chodził pochylony wdzięcznie naprzód. Wydatnym zaś, ostrym profilem twarzy przypominał chwilami drapieżnego ptaka, co znowu intrygowało i zadawało kłam jego na pierwszy rzut oka łagodnej powierzchowności.

Kiedy na jakimś proszonym wieczorze Teresa ujrzała go po raz pierwszy, stanęła zelektryzowana. Zdawało się jej, że go już gdzieś przedtem widziała, może w śnie, może na jawie, a może tylko w swych wyobrażeniach o marzonym, przeczuwanym kochanku, że takim, a nie innym być powinien. Postać młodego literata wpalała się w nią żrącym, niepokojącym płomieniem zatęsknień. Stała odurzona, w zawrotnym wirze wnętrza, napojonego tchnieniami omgławiającej słodyczy. To on wstępował w nią upojeniem, rozkoszą, co wstrząsa do szpiku kości.

Wśrod zebranego towarzystwa posypały

się na temat zachowania się Teresy szepty, na które jednakowoż nie zwróciła uwagi.

Wkrótce, lawirując po salonie, Kosławski znalazł się tak blizko niej, iż mógł z nią nawet zacząć rozmowę. Już zauważył chabrowe jej oczy, wparte weń w niemym zachwycie. To też, ilekroć zerknął w jej stronę, Teresa spuszczała powieki i zarumieniona odwracała głowę w inną stronę, drżąca i onieśmielona. Wyglądała wtedy, jak różowa jutrzenka, zabłąkana przypadkiem pomiędzy ludzi.

Niebawem Kosławski został jej przedstawiony. Siadł obok. Teresie, jakkolwiek tem nieco zmieszanej, wydało się, iż goście, skupieni w drugiej części salonu, odwrócili nagle oczy od ich kąta, jak gdyby w porozumieniu się wzajemnem. To jeszcze bardziej spotęgowało jej niepokój i przyprawiło o niepewność siebie.

Kosławski przemówił do niej głosem, oddającym wszelkie cieniowania bardzo subtelnie:

— Będę śmiały. Widzę panią po raz pierwszy w życiu, a jednak przysiągłbym, że już ją gdzieś widziałem.

Gorące wypieki wystąpiły jej na policzki, oczy silnym rozjaśniały blaskiem, który gasł i zapalał się szybko, zwłaszcza, kiedy stykali się wzrokiem.

Popatrzał na nią z wyrazem odważnej, zarazem filuternej ciekawości.

Miała ochotę wstać i odejść, gdyż dziwnie krępowała ją blizka obecność tego człowieka. Pod pręgierzem jego wzroku mieniła się jej twarz grą różnorodnych uczuć. Mimo to siedziała, jakby przygwożdżona do swego miejsca, nie mogąc znaleźć w chaosie rozpierzchłych myśli słów do rozmowy. Powróciła jej nagle odwaga i przytomność umysłu, i rzekła doń ze zwykłą swobodą, jak do starego znajomego:

— Wie pan co, chodźmy. Odprowadzi mnie pan do domu.

Skłonił się na znak zgody.

— Ponieważ nie jestem tu sama, lecz z kuzynką i uniwersytecką koleżanką moją, Almą, muszę ją przeto naprzód zawiadomić o tem......

Wmieszała się w tłum gości, a po chwili przyprowadziła z sobą Almę, przystojną szatynkę.

Niebawem wszyscy troje znaleźli się na ulicy.

Noc była ciepła, pogodna. W opustoszałe łożyska ulic księżyc strumieniami zlewał blask swój. W powodzi tego naturalnego oświetlenia wyostrzały się kontury olbrzymich gmachów, majaczyła olśniewająca tu i ówdzie białość ścian, murów i bielonych parkanów, tajemnicą mroku zionęły załamania i wklęsłości ścian, wypełnione szczelnie ćmą, błyszczały, niby rzek powierzchnie, gładko moszczone drogi uliczne, na których miejscami leżały bezkształtne kolosy bryłowatych

cieni, padających od budowli. Przerzynały ją także dwurzędem biegnące ciemne wgłębiny rynsztoków. Strzeliste kadłuby wież, wieżyczek i dachów ze spotęgowaną jakby mocą wypiętrzały się w górę. Bielone grą księżycowych blasków kontury miasta gubiły skończoność swą w półświetle nocy, albo też ostrej nabierały wyrazistości.

Otuliwszy świadomość w mgłę rozmarzeń, widziało się w tym widoku czarodziejski gród, po którym swobodnie, niby po królestwie własnej imaginacyi, przechadzać się może marzyciel.

Jakoż młodych ogarnął nastrój marzycielski. Szli w milczeniu, oczarowani fantastycznym wyglądem miasta, zadowoleni z siebie, jak owi, którzy tej godziny musieli być razem, gdyż tak, a nie inaczej, pokierowało nimi dobre przeznaczenie. W ich duszach zapłonęło światło radosnych przeczuć najintensywniejszego szczęścia ludzkiego. Wpadli w mimowolny stan ekstazy, co nie gasi nawet wśród głuchego osamotnienia uśmiechu warg.

Kosławski dotknął wreszcie ramieniem swem ramienia Teresy i rzekł głosem odeń oderwanym, umiejscowionym jakby tuż koło niego w przestrzeni :

— Doznaję wrażenia, żem do cna obdarty z mej zwierzęcej egzystencyi, że wyobnażyłem się z powłoki cielesnej samym duchem, żem nie

rzeczywistością, jeno baśnią otoczony. Życie pełne jest cudowności, ale trzeba ją umieć spostrzegać i wywoływać z mroku nicości. Aliści najwyższym cudem świata i prawdą jest miłość. Tyle prawd już wywrócono, a tej nikt nawet nie zdołał podważyć. To wielka prawda, która, nic z siebie nie tracąc, przyobleka się w coraz inne kształty, potężniejsze, doskonalsze. Ale nie wielu jest szczęśliwców, którzy potrafią wcielać ją w ów najdoskonalszy kształt przejawień.

Ponieważ Alma szła przodem sama, Kosławski, przestawszy mówić, fosforyzującym wzrokiem wpalił się w jej skupione oblicze.

Postać Teresy ugięła się jakby pod naporem jakiegoś niewidocznego ciężaru.

Na mgnienie oka przystanął z przenikliwym rzutem wzroku swego w głębie jej oczu, które mimowiednie odsłaniały przed nim wewnętrzną udrękę Teresy.

Nie zdając sobie sprawy, dlaczego to czyni, podniosła machinalnie głowę do góry i rzekła:

— Widzi pan tę wielką jasną gwiazdę? — wskazała oczyma. — Świeci ludziom blaskiem czystej źrenicy, w której mieszka . . . szczęście . . .

Zadrżał febrycznie, jak w chwili, kiedy budzi się w nas jakieś bardzo głębokie wzruszenie czy poryw szlachetny.

— Dlaczego piękne zjawisko tej gwiazdy w tym właśnie momencie objawiło się mym oczom?

Wsłuchała się całą istotą w treść własnego pytania.

Dlaczego?

Kosławski szedł obok niej, twarzą przy twarzy, i chciwym wzrokiem pił piękno jej rysów, wyszlachetnionych dziwnie uczuciem. Ta dziewczyna przenikała do dna jego istoty słodyczą, promieniem natchnień, rozbudzających w nim jakieś górne, potężne tęsknoty. Uczuł w sobie tragizm rosnącej miłości, gwałtownej i rozrywającej wszelkie tamy i hamowidła.

W kilka minut potem studentki żegnały się z odprowadzającym je mężczyzną.

Teresa, znikając w zatrzaskującej się za nią bramie kamienicy, obejrzawszy się, zobaczyła jeszcze Stefana Kosławskiego, stojącego w tej samej pozycyi, w jakiej go w chwili pożegnania zostawiła na ulicy. Stał na trotuarze z uroczyście odsłoniętą głową, jak gdyby jeszcze przed nią samą, zwrócony twarzą ku zamkniętej bramie...

III.

Od tego czasu minął rok.

Teresa patrzy wstecz wzrokiem wysilonych wspomnień i widzi teraz wykopaną pomiędzy tamtym a obecnym okresem życia przepaść. Wokoło zaś powstają zjawiska złe, groźne i niezrozumiałe, odgadywane jedynie mocą przeczuć.

W chwili zrodzenia się w jej duszy miłości żyć i gwałtownie rozwijać się w niej począł młody, radosny żywioł, pełen jakiejś pierwotnej dziewiczości.

Prowadzi on naślepo ku popełnieniu w bezwiedzy mimowolnych win, kiedy po dokonanem staje przed nami, niewiadomo zresztą dlaczego, spóźniona jakby twarz sumienia, a otoczenie nasze poczyna groźnie warczeć, jak gdyby z przestrzeni wypaść miał przeciw nam piorun kary i spustoszenia.

A wszystko wtedy wydaje się obleczonem mgłą tajemnicy, wobec czego stoimy bezradni, strwożeni, napróżno usiłujący swem wnętrzem napiętem odgadnąć komplikacyę zewnętrza.

Lecz rozbijemy się o niewiedzę, by o niewidoczną rafę podwodną, wciąż tonąc i dla kurczowych chwytów swych rąk ginących nie odnajdując nawet ostrza brzytwy.

Porażeni krzywdą, toczymy dookoła krwawem okiem, oczekując napróżno ratunku, idącego ku nam z obszarów przestrzeni.

Nie ujrzy jednak wzrok wyciągniętej dłoni zbawczej, jeno pusty przed sobą widnokrąg, zachmurzony jedynie dymem dokonywającej się poza nami klęski.

Lęk przed przyszłem dławiącą stawia na piersi stopę, i za wszelką cenę pragnęłoby się teraz nawrotu w ongiś niczem niezmącone, jasne przestrzenie minionego.

Chciałoby się poprostu wycofać z niepewnej teraźniejszości i z tego, co ma ona przynieść, aby, popłynąwszy w innym kierunku, ucieleśnić się w wymiarze własnych o samym sobie wyobrażeń, zaklętych w formę tej właśnie doskonałości, z którą wielu często rozmija się na drogach wszechżycia.

Ale dokonać nawrotu było już trudno. Zresztą myśl tę wywoływał w Teresie dość słaby odruch instynktu samozachowawczego istoty, która dotychczas nie kiełznała swych pragnień i popędów. Bezwiednie zostawiała im kompletną swobodę, i rozwój jej szedł po tej linii. Co znaczyło krępowanie się i samobiczowanie powrósłami własnej woli — nie wiedziała. Na to zbyt mało była jeszcze dojrzała.

To też istota Teresy prężyła się całą mocą ku Kosławskiemu, bez względu na wszystko. Wymykała się ustawicznie myślą na przestrzeń, zawsze wielbiąca, szukająca. A w jego obecności zapominała niebacznie o całym świecie, nie przy-

puszczając nawet, jakie z takiego zapomnienia wyniknąć mogą konsekwencye.

Za to nieubłagana rzeczywistość mścić się poczęła na niej. Powoli wpijały się w jej dziewiczą młodość pazury; polip życia przygotowywał się do chciwego żłopania jej krwi.

Jej miłosna tajemnica stała się nagle łupem publicznej ciekawości. Rozwłóczyły ją usta wszystkich po salach uniwersytetu, stamtąd przedostała się do tłumów ulicznych i plotkarskich saloników i kawiarń.

Teresa nic o tem jednak konkretnego nie wiedziała.

Szepty, dziwne uśmiechy, jakich jej nie szczędzono, zbytnia często poufałość otoczenia napełniały ja trwogą i przykrem zdumieniem. Nie poczuwając się do żadnej zgoła winy, wpadła w stan chorobliwego rozdrażnienia. Czuła, że była przedmiotem jakowychś plotek i intryg. Nie pomagały subtelne indagacye i domaganie się wyjaśnień. Wzruszano na to ramionami, lub zbywano ją uszczypliwemi określeniami.

Nie przestawała jednak codziennie spotykać się z Kosławskim, mimo, że przykry szept języków szedł za nią bezprzerwnie, jak syczenie gadu.

Były dnie, iż nie jednej swej koleżance lub koledze rzuciłaby chętnie w twarz jaką

obelgę, prawie za nic, jak tylko — nie wiedzieć czemu — za ironiczną tonacyę głosu, za uczynioną na ucho uwagę, za niby to anielsko słodki uśmiech, w którym bezmiar się czaił obłudy. Miotała się, jak w sieci, ale im silniejsze były jej wybuchy, tem ciaśniej zaplątywała się w nową pajęczynę o jeszcze trwalszych włóknach i niezliczonem mrowiu oczek.

Tak, jak gdyby w życiu nie wolno było czynić niczego, jeśli bez zastrzeżeń nie podlegnie się prawom i wskazaniom, ustanowionym poza obrębem form społecznych przez trzodę ludzką. Są one ujęte wstydliwie w nawias pozującej dyskrecyi, i każde ich przekroczenie ściąga na głowę winnego karę lynchu, dokonywanego w rękawiczkach.

W ten sposób ciemne przesądy i gnuśne instynkty człowieczeństwa znajdują upust dla swych ciężkich nadmiarów, skapując ważko na wszelką indywidualną wybujałość, gnąc i przełamując ją nie nazbyt nisko, nie nazbyt wysoko, ot tak — w pośrodku miarą powszechnych upodobnień. Biada, jeśli w miejscu, które ci oznaczą, nie zechcesz przełamać się, ratując swe wierzchołki! Rozumiejąca się, jak jeden mąż, trzoda przewali się po tobie lawiną, rada, iż jednego mniej już „oderwańca“. I powróci zadowolona do swych legowisk i na nowo odżyje w wywąchiwaniu nowych dla się niebezpieczeństw.

Z taką oto potęgą Teresa mimowiednie weszła w konflikt. Nie podledz jej ciemnym nakazom — znaczyło pogrześć się pomiędzy żywymi. Okrucieństwo tych objawów było tak wielkie, nawalne, iż uczuła pod stopami otchłanną próżnię, w którą rozhukana pięść życia strącała ją brutalnie. Wszystko, co dotychczas poza nią dokonywało się w przestrzeni, było niejako stopniowem zrastaniem się cząstek molekularnych, które miały z czasem dać jednolitą formacyę lawiny, toczącej się na nią w inercyjnym rozpędzie. A bieg jej powstrzyma Teresa wtedy, gdy w łonie jej dokona się poród instynktu trzodnego.

W śmiertelnych z sobą zapasach stłoczyły się w kłąb jednolity kontrasty szczęścia i nieszczęścia. Co chwila jeden nad drugim brał górę, uwydatniając się mocą pierwszeństwa. Brak było równowagi.

Na tło tej walki padły znienacka słowa listu ojca:

„Droga Tereso! Wiem, że ogarnęło cię zło. Oślepłaś na życie i przestrogi, z któremi spotykasz się na każdym kroku. Zawisł ponad tobą miecz klęski. Ratuj się i strzeż tego, co młyńskim kamieniem pociąga na dno. Prawda, są uczucia w człowieku, których nie śmią podglądać najdroższe mu nawet oczy. Trzeba jednak zważyć, iż samowolne, ślepe rozkiełznanie we-

wnętrzne równa się zbrodniczemu nadużyciu. Sprowadza bowiem rychłą ekspansyę tej najżywotniejszej energii, której nagły ubytek jeszcze za życia czyni człowieka trupem. Zbyt silne napięcie uczuć w jednym kierunku — to zbrodnia, na samym sobie dokonana. Gaśnie się, jak wulkan po wybuchu. Miłość człowieka, czy też umiłowanie rzeczy winno rozprzestrzeniać się na wszystkie przedmioty. Kochając nie jedno, a wiele, zabezpieczamy się, przędąc wielokrotne tym sposobem nici łączników ze światem. Kiedy łączy z nim jedna tylko nić, grozi nam większe niebezpieczeństwo. Może bowiem pęknąć, i jako nieużyteczny już atom świata, nie czując w dłoni łącznika, oderwiemy się odeń, przepadając w mgłach nicości. Co innego, gdy nici tych w ręku posiada się cały motek. Przerwie się jedna, — zostanie sto innych. Szczerych tych przestróg moich nie lekceważ sobie, ani tych, które w banalnie złośliwych formach docierają do cię z życia, albowiem jest to głos instynktu samozachowawczego mas, broniących się z plugawem niedołęstwem przed oderwaniem się od świata“...

Pod obuchem tych przekonywających słów padła u jej stóp ściana dławiącej tajemnicy. Życie zrzuciło swą maskę i łysnęło zimnym nieubłaganie wzrokiem. Zdawało się mówić: „Otom jest mądre, drapieżne mądre. W stalowym uścisku moim giną, któ-

rzy dynamicznością swych istnień ważyli się zachwiać zrównoważoność moją. Jestem umiarkowane, nadmiary przetapiam w martwotę."

Oto przyczyna wróżebnego warkotu przestrzeni.

Oto odkryty spisek wszechrzeczy, którego mimowolną było się przyczyną.

Oto zaczątek lawinnej formacyi.

...A człowiek — oszukany — wierzył, że to głos był sumienia...

IV.

Od kilku dni Teresa, chcąc nieco uspokoić opinię, rozsiewającą o niej plotki, starała się nie widzieć z Kosławskim. Bo plotki to były naprawdę, gdyż w stosunku jej do niego nie zaszło zgoła nic, że tak powiem, zdrożnego.

Po powrocie z miasta, nękana gorączką myślenia, legła na otomanie.

Wir bezładnych, chaotycznych myśli wyprawiał formalną w jej mózgu orgię. Z pośród tego chaosu wynurzała się z przeraźliwą wyrazistością ukochana twarz Kosławskiego, którą z migawkową wprost szybkością przesłaniały

strzępiaste mgły posępnych wrażeń i zawiłych obrazów o treści, zaczerpniętej bezpośrednio z życia.

Była to prawdziwa męka, mózg się gorączkował, rozpalał coraz bardziej aż do kompletnego rozprężenia swej naturalnej logiczności, co chwilami powodowało jego upadek, wtrącało w stan martwej apatyi, a nawet niepoczytalności.

O zmroku przyszła Alma, która mieszkała razem z Teresą. Zdjęła żakiet i kapelusz, i potrącając w ciemności meble, jęła przechadzać się niecierpliwie tam i napowrót. Widząc koleżankę w stanie, w jakim ją już od pewnego czasu zaobserwowała, poczęła w rozdrażnieniu:

— Albo cię niema w domu, albo zastaję cię zrozpaczoną. Pozujesz, lub naprawdę jesteś chora. Najlepiej byłoby ci u siebie, w domu. Radzę, rzuć czemprędzej miasto, wyjedź stąd. Możeby wreszcie przycichły te gadania, których bezustanku jesteś tematem.

Teresę ubodła brutalność, wyłuskana niedobrym językiem Almy z powłoki pozorów. Przez gęstwę mroku popatrzała na nią nienawistnie.

— Mówisz do mnie w sposób, jak gdyby połowę rzekomych win moich zwalono na twoje barki.

— Ponieważ żyjemy z sobą i razem mieszkamy, musi przeto spaść na mnie połowa odpo-

wiedzialności. Przyznasz, że chyba perspektywa to niezbyt miła w przyszłości zdawać sprawę z twego postępowania przed rodzicami. Bo przecież dowiedzą się, zawezwą.....

Wysoce podrażniona Teresa odparła:

— Nie lękaj się, mimowolna opiekunko moja. We wszystkiem uprzedzę cię sama. Nie spadnie ci z głowy ani jeden włosek.

Alma z niebezpieczną w głosie słodyczą podjęła:

— Kieruje mną prosta względem ciebie życzliwość. Zależy mi na wytłómaczeniu ci, iż pomiędzy nami, studentkami, najbardziej nawet postępowemi, niema ani jednej tak dalece, jak ty, lekkomyślnej. Jeśli która ma jaki romans, kryje się z tem, a ty.....

Teresa skoczyła, jak lwica.

— Więc chodzi wam tylko o zachowanie pozorów, pod których przykrywką pielęgnować można łatwe świństwa. Przynajmniej, jeśli która z was nie przychwyta pod nią męża, to kochanka. Ach, wy umiecie świetnie fabrykować płaszczyki i atmosferę chlewikowych współżyć. To całe rzemiosło. Kto żyć pragnie, jak zwierz tuczony, musi wyuczyć się waszego użyciawiającego rzemiosła. Ideały, porywy ducha, miłość — to wszystko dla was jakby błyszczące guziki od munduru, w którym paraduje R z e m i o s ł o. Jakże was nienawidzę!

— Trzeba posiadać dużą pewność i odwagę, aby wygłaszać tego rodzaju poglądy. Wolę coś pośredniego, co nie doprowadzi mnie do zlekceważenia życia.

Słowa te, jak najtrafniej wymierzony grot, padły w głąb wzburzonego umysłu Teresy, stępiając przynajmniej chwilowo ostrze jej buntowniczej oporności. Nic tak bowiem nie osłabia, jak częstotliwa powtarzalność pewnych wytartych już, ustalonych prawd na wygodę i użytek publiczny pod znakiem rzekomej konieczności. Albowiem silni ludzie nie uwierzą nigdy w konieczność tej rzekomej konieczności. Potrafią oni zawsze zgnieść potworny łeb fatalności, wynurzający się ku nim z mętów życia, zadając mu pomiędzy ślepia śmiertelny cios rycerską pięścią swej szczytowości.

Nie odezwała się więcej do Almy, która w dalszym ciągu wywłóczała frazesy mdłe, bezpodstawne i oklepane z całą znajomością płytkiego życiowego nurtu, którym płynie się całkiem bezpiecznie z gwarancyą zupełnej bezkarności.

Teresa w nocy miała przykry sen.

Do pokoju wszedł znagła czyjś cień i stanął u wezgłowia jej łóżka. Przytem otarło się o jej skroń coś, jak lód, zimnego. Zaszumiało przejmujące: „zginiesz!“ Z urwanym jękiem popatrzała widmu prosto w twarz. I o dziw!

W przestrzeni zamigotał wyiskrzony szaleńczo wzrok Kosławskiego. Z czarnego rękawa fraka, zakończonego rąbkiem śnieżnej białości mankieta, zżymnięta wysuwała się dłoń, obejmująca nikiel wymierzonej w nią lufy rewolweru.

Przyszedł ją zabić.....

Wyskoczyła z pościeli. Huk pulsów, niby młotów, rozlegał się po czaszce. Omdlenie struchleń przelatywało przez pierś jej wiatrem.

Stanęła w oknie, przez które wsączał się mdły odblask latarń. Żółty przyćmiony płomień migotał okiem złowrogiej zmory, rzucając na tło bezmiernej nocnej szarości wypieki blasków, ceglastemi plamami suchotniczych wypieków pełzające po ścianach, dachach i bruku miasta.....

V.

Kosławski i Teresa są w lesie. Rzuceni w słoneczną przestrzeń, przedzierają się, samotni, gąszczami. Pachną mchy, siodła i trawy. Pobliskich pól pieśń skowrończa oddaje swe dźwięczne echo zaroślom, po których huka stugłosem. Ponad ich głowami chwieją się zlekka czuby sośnin i jodeł, formując baldachim, przetykany tu i ówdzie skrawkami czystego błękitu, co przypomina życzliwe szczęścia migotanie.

Prędko odżywa się po ciężkich przejściach. Dobroczynne zapomnienie znowu pobudza do wysiłków, co groziły tragicznem runięciem.

Teresa podniosła się rychło przeciwko wszelkim nakazom, ujmującym w karby jej indywidualność. Przyjęła z nich tylko tę treść, która niejako zawarowywała jej własne prawa. Prysły wszelkie hamowidła. Jak ten, co niebaczną dłonią potargał krzew rzeczy poważnej, tak ona, niepomna przestróg, darła wysiłkami plątające ją sieci w głuchem poczuciu niebezpieczeństwa, jakie dość często wynika z powodu takich ślepych usamodzielnień.

Na dojrzałe ziarno mądrości listu ojcowskiego, na warkocące mściwie fale napomnień, na wszystko, co wywracało wolę indywidualną — padł mrok niepamięci.

Jakby umarła, niosąc narodziny swe światu w postaci nieokiełznanego żywiołu, co strzepał ze swych skrzydeł nalot narzuconych suggestyj.

A trzeba go było wtłoczyć w świadomość opanowanej woli, by władać nim, jak mieczem obronnym, przeciw grożącym maczugom życia.

W kłębach ciepłego zapachu żywicy obiegały ich organizmy nieustającym rytmem żywo pulsującej krwi. Młodość otaczała ich ramieniem swej życiodajnej opieki, prowadząc za rękę na nieosiągnięty szczyt wniebowzięć.

Słoneczną szli ziemią zapatrzeni w siebie,

wiążąc swe dłonie uściskiem pod baldachimem strzelistych sosen.

Z szmerem listowia szła ich przyciszona rozmowa z bezechową głąb lasu.

— Kochajmy się tak, abyśmy umarli.....

Z pełnej piersi huknęła Teresa w gęstwę, tak, iż stokrotne echo potoczyło się w głąb lasu i w nim przepadło bezpowrotnie.

Biły od niej promieńmi radość i uniesienia. Skłębiła się w sobie, przypadła brzemienna jakimś nadmiarem całą postacią ku ziemi, aby, odbiwszy się od niej, paść elastycznym rzutem sprężyny w ramiona szaleństwa i rozkoszy.

Przepaściste, pełne dziwnych zapytań spojrzenie wparła na mgnienie oka w oczy Kosławskiego. Prawie niewidoczny, jakby pozywający ruch głową i niepowstrzymany bieg przed się na skrzydłach wewnętrznego wichru. Smagały ją rozginane w pędzie gałęzie i pręty młodej leszczyny. Na małej polance przystanęła. Gwałtowny rzut ciałem w tył — i padła twarzą ku szczytom drzew. W szalonem, dzikiem zapamiętaniu jęła tarzać się po trawie, rwać ją pełnemi garściami i obsypywać się jej zieloną runią. Wężowymi przegibami młodego organizmu czyniła wrażenie rozkoszującego się zwierzątka.

Nieruchomo stał Kosławski wryty jakby w ziemię i ze splecionemi na piersi rękoma patrzał z wewnętrznem prężeniem się w nią.

Przez myśl mu przemknęło, że powinienby teraz w jakikolwiek sposób ratować tracącą zmysły Teresę, a przynajmniej samemu doznać silniejszego wrażenia na widok jej nieszczęścia. Ale był to w nim słaby zaledwie odruch. Niezwykłość sytuacyi zresztą tłumiła wszelką trzeźwą świadomość. Stał więc i patrzał z zapartym oddechem, czując zawrotny wir w mózgu, w którym ponad wszystką inną treść wybijał się dominujący głos wołania o rozkosz. Gorące pragnieniem macki polipa-krwi obchwytywały organizm jego, wciągały w sieć palącego ognia.

Widnokręgi wnętrza zamącił nagle ciemny wiatr i buchnął zeń spazmem niezgaszonej namiętności.

Od wysiłku samoujarzmienia schmurzył mu się wzrok, twarz stężała w skurczu pętania rozkiełznań, co niebezpiecznym zapaliły się w niej migotem. Jeno wprzód podana pierś i nos, jak dziób drapieżnego ptaka, ściągnięty w krzywy hak, świadczyły o czającej się w nim potędze żądzy.

Teresa nagle, jak indyjski wojownik, wydała straszny okrzyk i porwała się z ziemi.

W twarz Kosławskiego wpaliła się para jej drwiących oczu.

Siła ich była tak wielka, że spuścił wzrok ku ziemi, czując, jak twarz mu obsiada rumieniec, rumieniec coraz większy, gorętszy. Na skronie wystąpił pot.

— Przeląkłeś się mnie, przeląkłeś się kobiety! — rzuciła mu syczącym szeptem, a każde słowo padało weń ciężarem ołowiu, roztrącając bezlitośnie spoistość psychiczną. Z zadławionego gardła nie mógł wydobyć zdania.

— Uciekłeś przede mną !

Lepiej było zapaść się pod ziemię, niźli słuchać tych piorunujących słów.

— Przeraził cię mój żywioł !

Jakby przed bodącymi rogami cofnął się w tył.

— Tchórz!!!

Z cichym jękiem przygiął się ku ziemi : męska godność nie mogła ścierpieć swego poniżenia.

Z oczu mężczyzny strzelił płomień nienawiści; z pod wąsów czarnych, jak smoła, błysnęły złowrogo dwa rzędy olśniewającej białości kłów; w ściągniętych brwiach zakłębiła się chmura strasznych gróźb.

Wyglądał, jak ten, którego woli pogromczej nie zdoła się oprzeć nikt.

Po chwili rozprężył się, wyprostował przed nią dumnie. Z oczu jego ziało dnem otchłani.

Błyskawicznym ruchem ręki przyłożył sobie do skroni mały błyszczący przedmiot.

Padł strzał.

Przez lekki biały obłoczek rozpraszającego się dymku widziała Teresa wzrokiem przeraże-

nia coś niby słup, niby pień, buchający fontanną czarnej krwi.

Kosławski stał w tem samem miejscu. Dłonią dotykał włosów w miejscu, z którego sączyła się krew i cienkiemi pasemkami spływała po twarzy.

— Chybiłem — mruknął z odcieniem zawodu w głosie.

Teresa, opamiętawszy się, nie śmiała doń zrazu przystąpić. Szukały jego oczu uporczywie jej oczy, w których tkwił niemy wyraz podziwu czy uwielbienia. Takim wzrokiem spogląda się na jakiegoś wielkiego bohatera, który bez wyjątku zawsze i wszędzie jest przedmiotem pożądania całej płci pięknej, w jej świętobliwych nawet wyjątkach. Urósł jej w oczach, zolbrzymiał do rozmiarów nieprzeczuwanego w marzeniu zjawiska. Stał przed nią bóg męskości i szczytowego bohaterstwa.

Przypadła doń wielbiąca, malutka, pokorna, poddana wszelkim przewidywanym i nieprzewidywanym następstwom. Przypadła doń w tej ślepocie, kiedy człowiek mimowolnie podpisuje jakby akt zrzeczenia się samego siebie na korzyść innej, silniejszej indywidualności, kiedy, wyparty z siebie, gotów jest paść ofiarnem użyźnieniem na jej obcą glebę i w niej się rozatomizować, przepaść, wcielić się w inny kształt, stając się niejako jego dopełnieniem.

Był to moment, w którym przestała istnieć Teresa Gońska, zatracając się w tym nowym chwilowym dla się rozmiarze.

— Nic mi nie jest — rzekł; — zaledwie skóra draśnięta. Postradałem kilkadziesiąt włosów.

Czerwone skrzepy krwi pozlepiały mu włosy, niby rozlazłym lakiem.

Wydał się jej piękniejszym, niż przedtem.

Była to piękność bladego cierpienia i wzruszeń.

Zmusiła go do usiądnięcia na trawie. Głowa jego spoczęła na jej kolanach. Opatrzona rana okazała się w samej rzeczy lekką. Opatrunku oczywiście Teresa dokonała w sposób nader prymitywny. Po obmyciu rany wodą kolońską przewiązała ją delikatnie gazą swej woalki i chustką do nosa. W poddanem milczeniu przyjmował Kosławski pieczołowitość jej rąk.

Unikali swych oczu. Krępowała ich teraz dziwna wobec siebie nieśmiałość. Za to cisza. którą byli otoczeni, jak gdyby nasiąknęła muzyką ich rozmiłowanych dusz, muzyką wymownych gestów i twarzy, które, jakby odbite z przestrzeni, nieziemski uszlachetniał wyraz.

Na przyszłe objaty krwi żyła w niej nadzieja.

Wstały pierwsze cienie zmierzchu i, jak na komendę, jęły ustawiać się rzędem pod drzewami, gasząc roztaczające się poza nimi

widoki, zlepiając ich wierzchołki w jedną czarną masę.

Wyszli na skraj zarośli. Polem do samego miasta wiła się przed niemi ścieżka.

Kosławski, nieco osłabiony, szedł powoli. Jeśli się czasem odezwał, słowa jego dygotały drżące i słabe. Czuć było, iż ponad ból fizyczny dolega mu coś więcej.

W połowie drogi zażądał, żeby go podparła. Ogarnął jednak jej kibić ramieniem pieszczotliwie, pochylił ku niej głowę, jak do kogoś bardzo lubianego, i rzekł głosem, nabrzmiałym serdecznością, tym, którym, zwierzając się, przemawiają zwykle ludzi dojrzali do młodszych i słabszych od siebie:

— Muszę ci powiedzieć, Tereniu, jedną bardzo przykrą rzecz: ja jestem żonaty.

Kiwnęła automatycznie głową, jak gdyby na znak zgody, i poszła prędko przed się, patrząc dokoła mętnym wzrokiem.

Przyśpieszył kroku.

— Tereso!

Nie obejrzała się nawet.

Dopędził ją, potem zrównali swe kroki.

Obrzuciła go obcym wzrokiem.

— Tereso! — błagał, — nie bierz tego do serca...

Przystanęła i spojrzała nań dziwnie.

— Czy ty się naprawdę chciałeś zastrzelić?

— Chyba nie żartowałem...

Wydęła wargi.

— Rewolwer twój był nabity sześcioma nabojami.

— Więc cóż z tego?

— Po pierwszym strzale musiałeś chyba zapomnieć, że zostało ci jeszcze pięć kul...

Zająknął się, uczynił bezradny ruch ramionami.

— Sam nie wiem — bąknął.

Wstyd go porwał, wstyd haniebny. Ta dziewczyna strasznej użyła przeciwko niemu broni. W jej prostych zdaniach tkwiło mnóstwo piekielnej ironii.

— Mogę poprawić — szepnął.

— Chybiony to byłby teraz efekt. Rzecz dziwna, że odrazu nie zauważyłam, że i tamto było chybionym efektem. Dałam się porwać: poprostu obłęd, ślepota — mówiła twardo.

— Gdybym się był dopiero trupem rozciągnął...

— Po następnym strzale...

— Okrutnie się mścisz, Tereso!

— Konstatuję tylko fakta...

Twarz Kosławskiego stała się purpurową.

— Dosyć! — jęknął.

Chwycił się oburącz za głowę i gwałtownym ruchem zerwał bandaż. Krew buchnęła z rany.

Padł zemdlony.

Teresa odwiozła go sama do jego własnego mieszkania, w którem jednak nie było widać żadnej żony...

VI.

Wakacye.

Teresa wsiada do wagonu. Jest sama; nikt jej nie odprowadza, nie żegna. Wionie od niej rezygnacyą, spokojnym smutkiem. Tłoczy ją okropne poczucie osamotnienia.

Tłocząca się na dworcu ciżba ludzka brzmi bełkotem rozgwaru; tumult, rwetes gorączkowy podróżnych, dzwonek telegrafu i sygnałów ostrzegawczych, potężne sapanie lokomotywy — wszystkie te odgłosy dochodziły ją jakby z daleka, nie z rzeczywistości, a z innego świata, istniejącego — zda się — poza wymiarem bieżącego życia.

Widmo Kosławskiego świta w mózgu niezapominiane.

Powinien był przeczuć, że wyjeżdża, i przybyć na dworzec, by choć z daleka błysnąć jej swą ukochaną twarzą.

A może chory jeszcze...

Ściska ją coś w gardle, zaprażonem łzami.

Gdzież jest ta jego żona ? Nigdy jej nie widziała, ani o niej nie słyszała.

Wyjeżdża. Wakacye. Zresztą i takby wyjechała po tem, co się stało...

Koniec, taki rychły koniec. Czem odżywiać nadzieję, aby posiąść przynajmniej złudzenie, że to nie koniec ?

Nagle z tłumu, otaczającego pociąg, wyłania się postać Almy. Teresy wcale to nie zdziwiło. Spotkały się wzrokiem.

— Szukam cię po całym dworcu, chcąc cię pożegnać — rzekła z peronu, podnosząc wzrok do okna wagonu, w którym stała Teresa.

— Zostawiłam na stole kartkę; fatyga twa zbyteczna...

Alma zmieszała się nieco.

— Przyszłam do domu natychmiast po twym odjeździe, miałam więc jeszcze dość czasu... .Tyleśmy przeżyły z sobą chwil i miałybyśmy się w ten sposób rozstawać ? Ludzie są ludziom potrzebni...

— Znam, znam twoje teorye — mruknęła Teresa niechętnie, gdyż w ostatnich czasach poczęła uważać Almę za sprawczynię wszystkich doznanych niedawno przykrości.

— Mimo, że odnosisz się do mnie z pewną niechęcią, licz na swoją starą przyjaciółkę.

Kto wie, czy po tylu ciężkich przeżyciach nie przydam ci się jeszcze na co... W życiu różnie bywa.

— Zapewne.

— Ujęłaś mnie swą niezdolnością czynienia krzywd. W dłuższem pożyciu ludzie zwykli wzajemnie się krzywdzić, już choćby z samej niepewności, czy nie spotka ich niewinnie zresztą krzywda ze strony człowieka, z którym współżyją. Gdyby mieli względem siebie zaufaną pewność, możeby nie czynili tego. Dlatego zawczasu się zabezpieczają, jako przezorni. O tobie przekonałam się, że nie powiedziałaś o mnie nigdy nic złego...

— A ty?

Alma zmieszała się nieco.

— Ja, widzisz... należę do innego rodzaju ludzi, uczciwych wprawdzie, ale przezornych. Nie dowierzam nikomu.

— I zawczasu się ubezpieczasz, zwalczając ich?

— To prawda. I tej metody trzymałam się w stosunku do ciebie. Możesz być jednak pewna, że, jeśli zawiniłam, zostało to już przezemnie naprawione. Przekonałam się bowiem, że masz charakter wyjątkowy...

— Czyli, że jestem naiwna...

— Życiowo. A wcale tego nie przypuszczałam z początku. Przebacz mi, Tereso. Teraz już wiem...

— Co wiesz?

— Że trzeba ci być prawdziwą przyjaciółką choćby na ślepo zawsze i wszędzie.

— I po co to było, Maryo, po co?.. Tyle się nacierpiałam przez ciebie...

Alma sponsowiała.

— Już wszystko naprawione...

— Tylko tych skaz, które mi w duszy wyryłaś, chyba już nigdy nie zagładzisz. Ludzki język tyle we mnie nasączył trucizny...

— Zapomnij o tem, błagam cię — szepnęła, blada, jak płótno.

Rozległ się dźwięk trzeciego dzwonka.

Uścisnęły się przez okno. Uścisk dłoni Almy był łapczywy, silny, długi...

Teresy dłoń była sztywna.

Pociąg był w pełnym biegu. Łoskot kół przypominał dudnienie grud ziemi, padających na zasypywaną trumnę. Teresa odczuwała to, jako pogrzeb przeszłości.

Na nowe życie!

W oddali na niknącym szarym widnokręgu, jak gdyby w mgławem półświetle tęskliwej słodyczy, majaczyły blado smukłe wieże i pstre dachy olbrzymiego miasta.

Krzyczała ta dal głosem odepchniętego jakby przez nią szczęścia:

...Wróć! Naprawdę unoszę w swem łonie

twe szczęście. Twa rozpacz jest pomyłką. Wróć, albowiem nigdy mnie już nie uchwycisz w swe dłonie — nigdy!

I szło to wołanie słonecznym przestworem ku małemu okienku w wagonie, ogromne, rozełkane. Płakało szumem ciemnych gajów, szeptem pól i rosnących łąk, pluskaniem rzecznych fal, modlitwą konturów niknącego miasta, jękiem słupów telegraficznych, tęskniących przy białych szosach...

Pociąg rwał naprzód całą siłą pary, śpiewał energicznym kół łomotem i przeraźliwem gwizdaniem lokomotywy, kolebiąc się miarowo w łożysku więżących go szyn. Rozkiełznany w swym niepowstrzymanym biegu, przecinał strzałą gęste słoje powietrza, ramami okienek chwytał swawolne wiatry, co głaszczą czoła i rozwiewają fantastycznie włosy. Smaliły one stężałą w jednolitym wyrazie skupienia twarz Teresy, która łowiła duszą nieuchwytne dla nikogo głosy i utrwalała krzepnący w pamięci obraz zarysów oddalającego się miasta.

Dławiły ją dwie tęsknoty: własna, ta wieczna niewolnica łaknącego wnętrza ludzkiego, i tęsknota wołającej przestrzeni. Pierwsza darła duszę w strzępy aż do bólu fizycznego, — druga przerażała swym beznadziejnym zewem jakby o pomoc, o zmiłowanie.

Mrąca pierś wołała „wróć!", aby w ukojeniu odżyć odnowa.

Obie tęsknoty podały sobie dłonie i w pląsie zawrotnym wirowały w takt głuchego dudnienia kół o szyny.

Zawodziło w niej nieutulonym płaczem dziecięcia, a biały żagiel beznadziei prężył się z jej wnętrza ku niewiadomej wyspie ukojenia.

Ze spazmatycznym uporem, wypieszczając imię Kosławskiego na najbardziej wyszukane tonacye uczuć, powtarzała je bez końca w kółko.

Aż przyszła chwila, kiedy swój stan psychiczny określiła w nagłem otrzeźwieniu, jako niepocieszające mazgajstwo.

Zimny, surowy, nieugięty prawie wyraz przywrócił rysom jej twarzy spoistą tęgość.

Z drugiego końca wagonu poczuła czyjś biegnący ku sobie wzrok. Był to ciekawy, nieustępujący wzrok jakiegoś mężczyzny. Zanim się jednak zdołała zastanowić nad tem, kto to był taki, podniósł się ów mężczyzna ze swego siedzenia i śmiało szedł ku niej, gotów do uprzejmego powitania. Wydał się jej znajomym.

— Pozwoli pani, że się jej przypomnę — zabrzmiał silny, dźwięczny głos męzki. — Jestem Benedykt Pacz.

Zadrżała z wrażenia. Było to nazwisko jednego z najgłośniejszych w kraju autorów, którego sława przedostała się i zagranicę. Po-

znała go przed kilku laty. Z swym ojcem, który był dobrym przyjacielem jej ojca, przyjeżdżał do nich często. Była wówczas w zaczątku pensyonarskiej karyery, kiedy o Paczu pisano już, jako o wiele obiecującym talencie.

Trochę onieśmielona, jak za dawnych pensyonarskich czasów, wskazała mu miejsce naprzeciwko siebie.

— Byłabym pana nie poznała...

Zawiesiła wzrok na jego kwadratowej, bujnej brodzie, z której obramienia patrzała piękna, myśląca twarz męska.

Uśmiechnął się lekko.

— Sądzi pani, że zmieniła mnie tylko broda ?

— Bynajmniej — odparła. — Książki, które pan wydał w ostatnich latach, są chyba najlepszym dowodem tej zmiany.

— Więc pani zna moją „literaturę“ ?

— Znam, naturalnie! Czytałam wszystko.....

— Powinienbym odpowiedzieć, iż niemało mi pani tem pochlebia. Byłaby to odpowiedź, nie odskakująca od przepisów prowadzenia towarzyskiej rozmowy, ale wydawałaby mi się nadto bezgranicznie pyszałkowatą. A wie pani, dlaczego? Każdy twórca składa się właściwie z dwóch ludzi: jeden to ten, co żyje na kształt i podobieństwo innych, drugi to ten, co tworzy i tylko tworzy. Obecnie jestem tym pierwszym,

ponieważ w tej chwili twórcą nie jestem. Nie może przeto i nie powinien przyjmować pierwszy, co się drugiemu słusznie należy. I naodwrót. Ci dwaj są nawet w małej mierze zawiśli od siebie i jeden drugiemu zawdzięczają niewiele. Są to połączone dwie odmienne zgoła indywidualności. Pozwólmy pierwszemu wprowadzać w czyn i życie sposoby i myśli drugiego — pozyska rychło miano waryata; pozwólmy zaś drugiemu w twórczości operować wyłącznie treścią życia pierwszego — zniweczeje, stoczy się z wyżyn na przyziemne wertepy. Dlatego też — dodał z cichym śmiechem — niech się pani przygotuje na rozmowę z człowiekiem podwójnym....

Spojrzała nań ironicznie.

Zauważył to i rzekł z naciskiem:

— Proszę nie rozumieć mnie dosłownie.

— A czy nie można tak żyć, aby ten pierwszy stanął na poziomie równym drugiemu, tak, iżby w nierozerwalne zlali się jedno?

Pacz sposępniał, opuścił ciężko głowę.

— To niemożliwą jest rzeczą. Życie na to nie pozwala; brak nam zresztą tyle sił żywotnych i intelektualnych, aby oprzeć się praktycznie na propagowanych dogmatach twórczych. Trzebaby chyba na zrealizowanie tego ideału rozporządzać bardziej skondensowaną, że się tak wyrażę, zdynamizowaną nawet psychiką i zgoła

inną, przekształconą na wymiar wartości twórczych rzeczywistością. Ale to utopia. Dzisiaj niema już tak wielkiego słowa, tak potężnych haseł, aby porwały za sobą miliony i pchnęły je w kierunku odrodzenia obecnych ustosunkowań, w których szarym, bez pazurów indywidualności wyższej, trzeba być pionkiem. A jeśli są myśli i rodzące się tu i owdzie hasła, należą one do tej drugiej, nie zmechanizowanej i nie szarej, codziennej rzeczywistości : rzeczywistości nieruchomej. W nią zsypuje się cały dobytek umysłowy, odrodzeniowy, niby do skarbca wiecznych pamiątek. A twórcy jego chodzą w zaprzęgu życiowego kieratu, upodobniając się do wszech maluczkich, bezsilni swem wnętrzem, co jeno w godzinach natchnienia wynosi ich na poziomy istotnej siły i apostolstwa. Niema, ktoby jednością potrafił być natchnienia. Kto wie, jaki zresztą dotychczas włada ludzkością instynkt, iż ją na tym, a nie na innym utrzymuje poziomie. Ten sam zapewne, co przed wiekami. Drugi Mesyasz byłby niechybnie przez nią także odepchnięty i ukamienowany...

Teresa nie znalazła argumentu odpornego.

— Przekonał mnie pan. Jednakże nad tą kwestyą będę się jeszcze zastanawiała. Jeśli znajdę broń na pokonanie pana, nie omieszkam z niej skorzystać.

—Mam, widzę, zaciętą w pani przeciwniczkę.

— Dziwnie podniecają do oporu myśli pańskie. Ciekawam, wszystkich, czy tylko mnie. A przyczyną rozległa skala pańskich poglądów.

Zadumał się, po chwili zaś rzucił jej nagłe pytanie:

— Czy pani jedzie na wakacye?

Tak, a właściwie to już na stałe do domu, ponieważ w tym roku właśnie ukończyłam uniwersytet.

— Niedawno, kilka tygodni temu, byłem w Mgławie, u ojca pani. Z powodu śmierci mego ojca miałem do niego pewne zlecenia. Wiadomo pani, byli przyjaciółmi.

— Wiedziałam z gazet o śmierci pańskiego ojca. Mego staruszka musiał ten cios dotknąć boleśnie.....

— Powiadam pani, płakał, jak dziecko. A w rozmowie, we współżyciu..... Wyjątkowy, niezwykły człowiek. Starzec, a taki młody duchem i umysłem! Ilekroć razy spotka się w życiu takiego człowieka, nie można się dość nacieszyć. Są to bowiem fakta, potęgujące w nas uwielbienie dla życia, które nawet w zaprzańcach dokonywają przełomów. Pesymizm, apatya, upadek energii intelektualnej i żywotnej są, oczywista, wytworem nadprodukcyi ludzi przeciętnych, jednostek zdegenerowanych i zgangrenowanych pod względem psychicznym. Gdybyśmy naprawdę zechcieli uleczyć świat, powinni-

byśmy go zapełnić takimi, jak ojciec pani, ludźmi.

— Dziękuję panu imieniem dumnej z takiego ojca córki — szepnęła cichutko, zapłoniona ślicznie.

W oczach jej jaśniał promień głębokiej wdzięczności dla Pacza, jako że tak podniośle scharakteryzował wartość jej drogiego starca.

Spojrzał jasno, z przejmującą powagą.

W twarzy Teresy odbiło się lekkie zdumienie. Nie przypuszczała, że ten na pozór zimny i niedostępny człowiek umie tak pięknie patrzeć.

— Jakże łatwo wyczytać z oczu pani, iż niepospolitą masz duszę — rzekł z całą szczerością.

— Skądże ta pewność?

— Odzwierciedla pani swe wnętrze w sposób, nie budzący zgoła najmniejszych wątpliwości.

— Rezultat obserwacyi pańskich jest dla mnie nader pochlebny; panu zresztą, jako twórcy i czcicielowi prawd, nie śmiałabym nawet zaprzeczyć. Ale co tam — dodała rezolutnie,— jest rzeczywiście tak, jak to pan określił. Nie zapieram się, posiadam istotnie wartości, których brak wielu ludziom. Mimo wszystko, jestem bardzo krańcowa. Ujemne cechy mego charakteru potrafią mnie jednocześnie wynosić na szczyty

zła, nie ustępującego w swej mocy przejawiającemu się we mnie i przezemnie dobru. Krótko mówiąc, jestem konglomeratem zła i dobra. Jedno zaś i drugie posiadam w mierze, mogącej obdzielić dwie indywidualności.

Rzucił na nią szybkie spojrzenie, uderzony wytrawnością jej sądu o samej sobie. Znaczenie tego wzroku uradowało Teresę.

Sfałdowało się w zamyśleniu gładkie czoło Pacza, na międzybrewnej zaś płaszczyźnie jego wystąpiła głęboka brózda pionowa.

— Czy poznała pani w stolicy literata Kosławskiego? — zapytał, jakby bez współudziału woli, machinalnie, niemal bezwiednie, z wyrazem oczu, z których pierzchały mgliste resztki poprzedniej zadumy, a natomiast wstępował w nie wyraz jakiegoś groźnego zaczajenia.

Ręce i głowa Teresy opadły bezwładnie; na mgnienie oka straciła samowiedzę, i mowa jej w ustach zamarła. Była, jak sparaliżowana.

Z oczu Pacza strzelił teraz błysk ponury. Zanim jednak zdobyła się na odpowiedź, posłała swemu towarzyszowi podróży spojrzenie udręczone, pełne niemego błagania.

Powtórzył pytanie. Brzmiało jakoś twardo, bezwzględnie.

— Znam go od roku — szepnęła.

— Piękny i zdolny człowiek. Talent, duży talent. Żeby się tylko nie zmarnował. Ta-

kich ludzi życie kusi, wabi swemi otchłaniami — i padają, jeśli nie są dość opatrzni. Każdy artysta powinien z całością swej istoty postępować, jak z drogocennem naczyniem, którego nie odkupi za żadną cenę. Pieczołowita względem siebie ostrożność — oto naczelna maksyma dla jego życia. Wie pani, że w Kosławskim upatrują pewne sfery mego przyszłego przeciwnika, który mocą swego tworzywa zagrzebie mnie wraz z memi prawdami w pyle niepamięci. Byłby to zresztą krok w ogólnym postępie rozwoju. Przyjąłbym taki fakt z kompletnem poddaniem się w imię przeważenia szali wszechdobra. Jednakże ludzie w pojmowaniu podobnych spraw bywają czasami śmieszni. Forowanie innego na czyjeś miejsce uważają niemal zawsze za walkę osobistą, nie za konieczny etap rozwoju. Nie wiedzą chyba, że każdy, choćby najwybitniejszy twórca jest tylko szczeblem, po którym następny, co więcej tchu od niego zaczerpnie w płuca, może osiagnąć wyższy od tamtego szczyt. Ale, proszę pani, niech tylko Kosławski zabłyśnie, niech się przejawi w prawdach, wobec których zbledną moje, Benedykt Pacz sam bez oporu ustąpi i, o ile będzie w jego mocy, własnemi jeszcze bary podeprze nową, lepszą budowę, aby Dobremu Wielkiemu Sternikowi świata dopomódz w trudzie tworzenia.

Skupiony wzrok mówiącego utknął gdzieś w przestrzeni.

Teresa nie odrywała oczu od jego twarzy.

Natury szerokie, impulsywne, zmuszone do życia wyłącznie sobą „ponad stan“ i do eksploatowania pokładów swej treści — na każdy swój gest wewnętrzny znajdują zawsze pełny wyraz zewnętrzny, a im bardziej częstotliwa jest siła ich napięć, tem dosadniejszym z czasem staje się ów wyraz.

— Czy pan zna dobrze Kosławskiego?— odważyła się wreszcie przerwać ciszę.

Popatrzał na nią dalekim wzrokiem.

— Znam go od lat kilku; żyliśmy z sobą dość nawet blizko, zwłaszcza w początkach jego literackiej karyery. Wówczas potrzebował jeszcze opieki, jak każdy zresztą młody talent. Byłem odeń starszy i miałem już za sobą wyżłobioną drogę wieloletniej pracy. Dlatego też z czystem sumieniem przypisuję sobie wpływ, jaki wywarłem na niego. I nie żałuję tego. Wart był pewnych myślowych z mej strony ofiar. Talent to przecie nie tuzinkowy.

— Z uwielbieniem wyrażał się zawsze o panu.

— Doprawdy? — Pacz ożywił się nieco. — Więc pamięta? Sądziłem, że go już przerobiono na mego wroga. Snadź, jeśli w przyszłości zmierzy się ze mną piersią w pierś,

szlachetnego w nim znajdę przeciwnika. Przekona się pani, Kosławski niedługo wstrząśnie umysłami.

— Pan istotnie spodziewa się po nim tak wiele? — zapytała z tajoną w sercu radością, gdyż po raz pierwszy udało się jej słyszeć podobne o Kosławskim zdanie.

— Tak — odparł. — Chyba, że spotkałoby go jakie nieszczęście.

— A może niem być?

— Choroba, wewnętrzne przerafinowanie, czy wypaczenie się w niewłaściwym kierunku. Życie artysty, proszę pani, to taniec pośród mieczów. Niebezpieczeństwa, w jakich żyje, stokrotnie przerastają grożące zwykłym pożeraczom chleba. Umysł artysty, czy myśliciela jest, jak góra, w której podnóże biją ustawicznie jakieś fale. W każdej chwili może osunąć się i rozpaść w nieużyteczne cząsteczki. Z duszą artysty jest, jak z napiętemi silnie strunami: mogą z łatwością popękać.

Pacz się nagle pochylił tajemniczo ku niej i zapytał:

— Jeśli go pani kochasz, na nic się nie oglądaj, jeno bierz go takim, jakim jest: młodym i niezużytym, aby nie dostało się potem w ręce pani tylko smutne popielisko człowieka-artysty.

Przerażona, cofnęła się odeń z lekkim okrzykiem.

— Ależ, panie!

Zaśmiał się dziwnie.

— Znam to, znam. Słowa szczere, wypowiedziane bez ogródek, na każdego podobnie oddziaływają. Przepraszam. Czasem trzeba z dobrej woli tak, a nie inaczej postąpić. Ale otóż i stacya. Do widzenia. Dziś mam odczyt w tem właśnie mieście.

Podał jej szybko rękę i, śpiesząc się, wyszedł z wagonu, zostawiwszy ją osłupiałą ze zdumienia i przykrości.

Co za śmiałość u tego człowieka! — pomyślała. — Wdziera się w tajemnice mego życia bez najmniejszych skrupułów. Każe mi go kochać; chyba nie wie, że Kosławski jest żonaty. Dziwny człowiek. Chwilami sprawiał wrażenie jego wroga, chwilami przyjaciela, jakiego szukać ze świecą w ręku....

Wyrwała swe myśli przemocą z błędnego kręgu niejasnych podpatrzeń istoty tego mężczyzny, który niejednolite zostawił na niej wrażenie: jednocześnie porywał, napawał trwogą i niesmakiem.

Kiedy pociąg ruszył, stanęła w oknie i poczęła przyglądać się zalanym słońcem przestrzeniom. A mózg jej świdrowało pytanie, czy Kosławski ma żonę, czy też skłamał przed nią. Ale cóżby tego kłamstwa był za powód? Da-

remnie łamała sobie głowę. Tymczasem pociąg mijał stacyę za stacyą i niebawem miał dotrzeć do przystanku kolejowego, gdzie był koniec podróży. Przeraźliwy gwizd lokomotywy i zgrzytanie hamulców, kiełznających bieg rozpędzonej machiny, powiadomiły ją wreszcie o tem.

Na dworcu zastała konie, przysłane z domu. Lekki wolant, zaprzężony w dwa pyszne ogiery, mknął szybko napoły zatrawioną, mało ujeżdżoną drogą. Ogarnął ją świeży szeroki oddech pól, pstrzących się różnobarwnemi łaty na rozległej równi ziemi. Popołudniowe słońce grzało i upał dawał się odczuwać, chociaż panował lekki wietrzyk, zdmuchujący potrosze zewsząd żary słoneczne.

W kompletnem jednakże jechała stępieniu nerwów. Przymknęła powieki, chwytając w źrenice tyle, ile się da, krajobrazu, nie myśląc zgoła o niczem, co ją jeszcze przed chwilą przyprawiało o strapienia. Siedziała w wolancie w niedbale bezwładnej pozycyi, jak gdyby rzucona przez kogoś na poduszki siedzenia. Było jej dobrze słyszeć cichy, łagodny turkot kół w miękkich wyżłobieniach drogi, wczuwać się w delikatnie skrzypiące uginanie się resorów, w wszystkie niezależne jakby od wysiłku woli odruchy własne i przedmiotów, w pieszczotę wiatru, co swawolnie igrał ponad polami.

Niebawem, jak majak senny, wykwitły na

równinnym horyzoncie zabudowania Mgławy, odrysowujące się wyrazistą miniaturą w przestrzeni. Było coś w tem naprawdę z widoku lilipuciego. Na bieli malutkich ścian majaczyły plamy kędzierzawych drzew. Wionęło słodkim urokiem szczerej wsi. Miniatura olbrzymiała zaś z każdym krokiem. Słomiane dachy stodół, a na każdym z nich jedno, a nawet i więcej gniazd bocianich, wapienno-białe ściany dworku, opięte kiściami dzikiego winogradu, kominy chat i czworaków, z których pyszczków dobywał się mały wesoły dymek, kilkadziesiąt strzelistych topoli o chwiejących się, pałąkowatych czubach, — wszystko to wyrazem niepokalanej sielskości poiło wzrok i zmysły.

Uczuła, jak razem z tym widokiem wstępuje w nią wracające gdzieś z krańców dzieciństwa zdrowie steranej nieco duszy i ciała. Zostało poczucie jedynych zmartwień: zgubiona lalka, podarty pajac, splamiony fartuszek, albo nagana. Zapatrzona w wizyę własnych wyobrażeń, stała się półświadomie i mimowoli uczestniczką jakiejś jakby toczącej się tuż koło niej w powietrzu rozmowy, prowadzonej w tak szybkiem tempie, iż całe wyrazy, a nawet zdania ginęły w nagłych urwaniach. Spostrzegłszy rychło, iż ma do czynienia z czemś nierealnem, przycichła w niemem zdumieniu. Ale słuch jej nie mylił: przestrzenią szły najwyraźniej głosy jej

rodziców, poswarzonych niby o coś w jakiejś ożywionej dyspucie. Jeden głos przerywał drugiemu, lub też splatały się oba w bełkot głośnych, mimo to prawie niezrozumiałych zdań. A działo się to dlatego, że świadomość jej ze zgoła niepojętych przyczyn zapamiętać i przyjąć nie zdołała ich treści.

— Cóż znowu!

Nie wierzyła temu, że słyszy cośkolwiek.

— Halucynacya...

Owładnęło nią wreszcie dość przykre uczucie, z którem dojechała już do samego domu. Na ganku przywitali ją oboje staruszkowie w dziwnym spokoju, bez wybuchów czułości, jak to bywało dawniej. To ją nieco strapiło. Przyjrzała się uważnie obojgu i dostrzegła w ich postaciach coś zesztywniałego, w twarzach pewną martwotę, skrzep rysów i mięśni zwężonych, wyschniętych. Przytem tyle zmarszczek! głębokich, nie wyrównywających się już zmarszczek, wyżłobionych — zda się — w białym pożółkłym marmurze, taki bowiem odcień miała skóra. Tchnęło od nich zimnem i stęchlizną starości, obchwytującej ich jestestwa kostniejącymi palcami śmierci. Zdawałoby się — próchno, które, trącone, rozpadnie się w proch. Grobowa niemal także atmosfera panowała w mieszkaniu, po którem snuły się te dwa dogorywające świeczniki życia ludzkiego. Niby nic się wewnątrz nie zmieniło. Ale te

wyfroterowane czysto ciemne podłogi, ściany z porozwieszanymi symetrycznie obrazami, schludne wielopoduszkowe łóżka o staroświeckich rzeźbieniach, spłowiałe dywany i plusze, duże stojące zwierciadła w ramach z poczerniałemi złoceniami, nieodświeżane łyse politury, fantastyczny zegar z kukułką, olbrzymie ciężkie szafy z pozałamywanemi tu i ówdzie rzeźbieniami — — wszystko to tworzyło jednolity z ich właścicielami nastrój. Szczególna symetrya w ustawieniu przedmiotów, nigdzie pyłku cienia, nigdzie śladu nieporządku. Co najwyżej — starość i zużycie. Było tu tak chyba zawsze; meble istniały chyba po to, żeby się niszczyły bez używania ich niemal, ludzie zaś jakby po to, żeby spełniać koło nich funkcyę pielęgniarzy, których zazwyczaj znajdują w ludziach podeszłych wiekiem martwe przedmioty.

Zgaszonym wodziła wzrokiem Teresa po ścianach pokoi, zatrzymując go czasami na nieruchomych, obojętnych twarzach rodziców, drepcących drobnymi kroczkami z kąta w kąt jakby w jakimś osobliwym frasunku. Szczególną uwagę poświęciła ojcu. Zaniepokoiły ją bowiem zbyt wyraźnie występujące u niego objawy starczego zniedołężnienia. Zastanawiała się bojaźliwie, czy przypadkiem nie będzie się z nimi łączył także upadek jego sił duchowych. Wywnioskować coś z pozorów było oczywiście trudno. Należało

oczekiwać odpowiedniej sposobności, kiedy złoży się w rozmowie na poruszenie jakiegoś poważniejszego tematu.

Podeszła do niej nagle matka, a podumawszy chwilę, rzekła:

— Zauważyłeś, mężu? zmizerniała nam trochę Teresa. O, coś źle, moja panno!

Starzec założył na nos okulary i także przydreptał do córki.

— To prawda, że zmizerniała. Uniwersytet nie przelewki. Zjadła ją nauka. Ale to nic nie szkodzi. W ten sposób rychło powracają utracone siły.

Pani Gońska, nie wiadomo czemu, westchnęła i pokiwała frasobliwie głową.

— Kobieta... I to taka nauka...

— Przytem w zmienionych warunkach życia — dodał ojciec, przypatrując się Teresie przez szkła, które dodały mu pewnej uczonej jakby powagi.

— A powiedz-no mi, moja panno — poczęła teraz staruszka, — czy nie upatrzyłaś ty tam sobie kogo na męża?

— Nie, mamo.

— Bądź szczera. Rodzice o takich rzeczach wiedzieć powinni. Jeśli nie, to my ci już kogoś znajdziemy.

— Daj dziewczynie spokoj! — ofuknął pan Gońska. — Zaledwie przyjechała, niech

pierwej trochę odpocznie, rozejrzy się po starych kątach i przywyknie do nas i do naszego trybu życia. Nie było jej przecież w domu kawał czasu.

— Mówisz tak, jakby już wszystko utraciła, czem nasiąkła w dzieciństwie przy naszym boku. Nie wyzuł jej chyba jeszcze świat z serca dla nas.

— Kiedy ty wszystko rozumiesz na opak...

— Z tobą zawsze tak...

Powiedziawszy te słowa, z dumą obrażonej godności starowina opuściła pokój.

Teresa została z ojcem. Wyszli na powietrze.

— Matka w ostatnich czasach okazuje większe, niż zazwyczaj, zdenerwowanie — począł usprawiedliwiająco, — ale nie bierz tego, duszko, do serca. Ot, ze starością dziwaczeje i usposobienie.

Teresa przeszła odrazu do innego tematu.

— Pamiętasz, ojcze, ten list, który swego czasu napisałeś do mnie?

Przyłożył trzęsącą się dłoń do czoła.

— Tak, przypominam sobie.

— Co cię, ojcze, skłoniło do napisania tego listu?

Starzec stropił się nieznacznie.

— Przecież ci nic złego nie napisałem w tym liście...

— Naturalnie, że nie. To były same mądre i dobre rzeczy.

— Jakto? i nie wiesz, o co mi chodziło? Z filuternym uśmiechem zarzuciła mu na ramiona obie dłonie.

— Ależ wiem, tatku. Byłam poprostu zdumiona odkryciem przez ciebie tej prawdy, o której zapewne byłbyś się był nie dowiedział, gdyby nie jakiś przypadek. Powiedz mi, ojcze, kto cię wtedy o tem powiadomił?

— To nieładnie wyjawiać. Zresztą określę ci, nie wymieniając nazwiska tego pana. Był to syn jednego z mych nieżyjących już dzisiaj przyjaciół, człowiek bardzo poważny i wybitny. Odwiedził nas tu w Mgławie, no i... niby przypadkiem w rozmowie ze mną wyznał mi w sekrecie o tobie wszystko, co wiedział. Dość nawet chwalił tego Kosławskiego, tylko, widzisz, z powodu, jak to powiedzieć... różnych pogłosek i plotek... Dość, że postąpił uczciwie, mówiąc mi, że grozi ci obmowa — nieprawdaż?

— Nawet bardzo.

— Cóż więc miałem zrobić? Napisałem ów list, aby cię przestrzedz.

— Dzięki ci za to, ojcze.

Nie potrzebowała już pytać o nazwisko. Wiedziała, że był to Benedykt Pacz. Gdyby jej był w wagonie nie wspomniał, że jeździł do Mgławy, byłaby naprawdę tem zaintrygowana.

— No, a jakże tam teraz z tą twoją miłością?

Teresa posmutniała.

— Lepiej o tem nie mówmy. Kosławski zresztą ma żonę...

— Tak? A to ładna historya! Może ty go jeszcze kochasz?

Teresa złożyła cichutko głowę na piersi ojca, co było najwymowniejszą z odpowiedzi.

W niemem zrozumieniu jej stanu przesunął dłonią po jej włosach.

W roztaczające się przed nimi gąszcze ogrodu wsączać się jęła złota purpura słońca, zachodzącego gdzieś na dalekim pól bezmiarze. Blaski kładły się, jak skrzydła motyle, na liściach, owijały krwawymi płomieńmi pnie i konary, centkując w duże czerwone płachty białe ściany dworu i gontowe lub słomiane płaszczyzny dachów. Umilkał stopniowo świegot ptactwa, czarowanego jakby powolnem zbliżaniem się wieczoru. Usychała wszelka jaskrawość, różnorodne odgłosy miękkim nabrzmiewały matem, stonowując się z nastającym spokojem natury. Po błękicie, niby strzępki bawełny, rozsypały się małe śnieżne obłoczki.

Przesiedzieli tak do późnej nocy, kiedy rozjarzone gwiazdy poczęły sondę swych promieni zapuszczać w labirynty dusz ludzkich...

VII.

Teresa rychło jęła odczuwać dobroczynne skutki oddziaływania domowej atmosfery.

Niewidzialną siateczką oprzędywała ją panująca tu wszechwładnie nad każdą rzeczą cisza, wciągająca w głąb swych perspektyw, które zaścielał tajemny półmrok, pełen dyskretnego czaru, tonującego jaskrawą brutalność przejawień. Martwota, z jaką zetknęła się z samego początku, poczęła nabierać w jej oczach życia i treści, dopóty kryjącej się zazdrośnie przed wzrokiem profanów, dopóki sami nie nauczą się rozumieć mowy rzeczy umierających. Ów język dziwaczny, jakim przemawiają do nas z otoczenia przedmioty nieżywotne, jest tylko odbiciem naszych myśli i wrażeń, umiejscawianych na nich. Odbicia te są więc tylko naszymi cieniami, a gdy słuchamy owej mowy, nie wiedząc, przysłuchujemy się samym sobie, niby znakomici śpiewacy własnemu głosowi, uwięzionemu w płycie fonograficznej. W ten sposób pomiędzy ludźmi a nieżywotnym z pozoru światem ich otoczenia powstaje tajemny związek uczuciowy, zadzierzgiwany mocą niewidzialnych nici.

Pod wpływem rodzącej się zdolności współobcowania z tym światem Teresa prędko otrząsnęła się z nalotu przykrych wrażeń, odczutych w pierwszych dniach przyjazdu. W sza-

rzyźnie martwoty z czarującą subtelnością wiło się życie rzeczy gasnących, odrębnych w kształtach i swem rozumieniu, jako pierwiastków, wyeliminowanych ze świata młodej, dźwigającej wszechżycie mocy.

Na tle odzyskiwanego spokoju narastały pokłady nowej treści psychicznej, stanowiącej niejako kojącą powłokę dla jątrzących się ran i pamięci dawnych wyczerpujących przeżyć. Stare jestestwo jej przelewało się znowu w formę, utworzoną ze składników mgławskiej atmosfery. Było to poniekąd dobroczynnym lekiem dla jej duszy i nerwów. Ostrza trosk i tęsknot zwolna tępiały, zapalając czasem w jej wnętrzu tylko łagodne wzruszenia. Nawet wspomnienie Kosławskiego nie dręczyło jej teraz rozpaczą. Wplotło się ono szczęśliwie w szereg snów pamiętanych i świeciło blado ku nim obrazem sennej zjawy, patrzącym z ram mroku rzeczy nierzeczywistych, oddalonych — zda się — na zawsze i upajająco przez to słodkich.

Spędzała dnie całe z książką w ręku, lub na potocznych rozmowach z rodzicami. Rozmów z ojcem o głębszym podkładzie unikała, jak również i wszelkich rozmarzeń, kierowana instynktem, że mogłyby ją znowu na niebezpieczne pociągnąć wyżyny i nanowo rozkiełznać w niej z takim trudem opanowany żywioł. Mimowiednie szła ku krynicom zdrowia. Prócz rozkoszy lektury,

wieś dawała jej mnóstwo innych przyjemności. Na przykład przebywanie w lesie stało się niebawem jej nieodzowną potrzebą. Niejednokrotnie, leżąc na trawie, tu i ówdzie obłożonej gęsto mchami, wsłuchiwała się całemi godzinami w przepływającą górą muzykę liści i gałęzi, której wtórował brzęk owadów i echa, zabłąkane na obszarze zarośli. Z boru szła ustawicznie jakaś niezbliżająca się tajemnica, jeno czasami — zdawało się — stanął poza jej plecami ktoś, co był zapewne cieniem, w niemem jakby oczekiwaniu... Machinalne jednak obejrzenie się wystarczało, aby skonstatować fakt złudzenia. I można było tak do końca życia przychodzić do lasu, przebywać go wzdłuż i wszerz, zaczajać się w mroku drzew i kuszczy i czyhać... i nie odgadnąć nigdy, kto śmiał przybierać na się pozór tajemnicy. Nie było jej nigdzie, a przecież czuło się jej obecność na każdym kroku. Uganianie się za nieuchwytnym cieniem stać się mogło manią, doprowadzić do szaleństwa, napełnić zabobonnym lękiem w przewidywaniu istnienia jakichś ciemnych władnących światem potęg, które ponoć nieuchronną zatratę nieść mają każdemu, kto odważa się stawiać stopę na lądzie życia i jego wiadomości.

Teresa odczuwała te zjawiska spokojnie i poważnie; stawały się one niejako dopełnieniem jej własnej treści, jej wiedzy o życiu i budziły

myśl głębszą, klękającą u zapartych wrót zagadki bytu.

Potem spacery, kąpiele, wstawanie o wschodzie słońca dopełniały miary tych wiejskich rozrywek. Jedynie zmiany atmosferyczne oddziaływały ujemnie na jej nastrój. Jaką zresztą bywa przyroda, takimi stają się ludzie.

Wieczór był pogodny. Teresa siedziała z ojcem na ławce blizko domu, u początku głównej alei, wiodącej do ogrodu. Ciepłe letnie powietrze nasycone było światłem gwiazd i księżyca. Podobny wieczór usposabiał do gwarzenia o rzeczach miłych a nikłych, ot tak sobie, od niechcenia, lub też o wzniosłych z oblatywaniem wierzchołków szczytowych marzeń. Jednakże rozmowa pomiędzy niemi zgoła odmiennem płynęła łożyskiem. Zrodziła ją bowiem konieczna potrzeba życiowa. Zbyt długo już przetrwali w łagodnym beztreściwym niemal stosunku do siebie, t. j. stosunku zewnętrznym, aby, siedząc spokojnie, nie sięgnęli do wnętrza swych istot.

— Ojcze — pytała, — czy bardzo cięży ci starość?

— Tak, dziecię moje. Tracę już swobodę umysłu i bystrość, z czem łatwo mi było, staremu, przenosić się w dziedzinę młodej myśli, tej, co jeszcze podnosi i odświeża. Dziś poczynam już na te sprawy obojętnieć, i wierzaj mi,

ogromnego trzeba wysiłku, abym, bodaj w przybliżeniu, dorównać mógł sobie dawnemu. Przytem myśl ma trzepoce się już bezsilnie, niby z podciętemi skrzydły ptak, oślepły z nadmiaru wysileń długiego życia. Starość wszystkiemu, co żyje, nadaje skostniałą formę egzystencyi. Czujesz nieubłaganie postępującą wciąż naprzód śmierć własną, tem zdradliwszą, iż osnuwa cię chyłkiem mgłą niewiedzy, pogrąża w wirowaty lej monotonnego chaosu, dezoryentuje w treści, dobrze ci przedtem znanej, uczy cię poprostu odwrotnej umiejętności patrzenia na świat z najniższego, prymitywnego stanowiska — i ani się spostrzeżesz, jak poczniesz patrzeć na rzeczy beztroskliwym wzrokiem głuptaka. Jakże straszną wtedy bywa świadomość tego, co się dzieje z człowiekiem! Nie dość mu jednej śmierci; jeszcze za życia poznawać się musi z jej okrutną poprzedniczką, starością.

— Tej konieczności musimy się poddać — szepnęła.

— Przenigdy! — zaprzeczył żywo. — Lepiejby było wcale na świat nie przychodzić, lub skonać w kołysce. Jakto? Żyć, budować po to, aby dać się potem owładnąć ślepej potędze, niszczącej piękno naszego życia i naszych tworów, z takim trudem wyrzuconych na pożytek świata z rodczego wnętrza? Do ostatniego w piersiach tchu winien każdy temu wrogiemu żywiołowi iść

wspak. Jeśli jest młodym, niech dynamizuje wszelkie swego życia zarodki; jeśli jest zanikającym starcem, niech swym przekwitom nadaje barwę i zapach rozwijających się pąków, niechaj iskierki własnych popielisk rozdmuchuje choćby tylko w płomyki! Mój Boże! Wszak starzec każdy pamięta młodość. Niech ją tylko dobrze pamięta i naśladuje wysiłkiem woli u schyłku lat swoich, a znajdzie wnet cudowny eliksir odmładzający. Stąd tylko krok do długowieczności.

Nadeszła pani Gońska z plikiem jakichś papierów pod pachą.

— Znalazłam je właśnie — rzekła do męża. — Skoro tylko Pacz przyjedzie, będziesz je mógł zwrócić.

— Dobrze, dobrze — odparł nieco zmieszany staruszek. — Mogłaś się z tem tak bardzo nie spieszyć...

— Odłożyłabym na ostatnią chwilę i mogłoby się zapomnieć. A tu lada dzień należy się go spodziewać.

Teresa dowiedziała się niechcący o spodziewanym przyjeździe Pacza. Dlaczego jej sam nic o tem nie wspomniał? Chcąc zaś wyrwać ojca z zakłopotania, udając, że niczego się nie domyśla, zapytała:

— Czy to ten sławny literat?

— Tak. Przypominasz go chyba sobie z czasów dzieciństwa?

— Doskonale.

— To właśnie o nim mowa. Będziesz miała sposobność poznać go bliżej — dodała pani Gońska, a wzrok jej w tajemniczem skupieniu spoczął na córce.

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się leciuchno na myśl, że rodzice nie domyślają się nawet jej przypadkowego spotkania się z Paczem.

— Czas pomyśleć o przyszłości — to rzekłszy, staruszka podreptała ku domowi.

Odkrycie, że starzy upatrują w nim już zawczasu przyszłego dla niej męża, niewysłowioną przepoiło ją przykrością i niesmakiem.

Więc tego rodzaju rzeczy dokonywają się w ten sposób? — pomyślała. — Na ofiarę zarzuca się siatkę i, wola jej czy nie wola, siłą suggestyi i sztucznem wytwarzaniem odpowiednich okoliczności prowadzi się ją tam, dokąd się ją chce zaprowadzić. I zamach na wolność indywidualną człowieka gotowy. Bez współudziału twej woli dokonywa się sprzysiężenie przeciwko tobie ludzi, rzeczy i zdarzeń, knuje się spisek przez niepowstrzymany bieg życia. I przepadłeś! Albowiem sprzeciwisz się — dotkną cię nieszczęścia.

O, życie da ci wszystko! Nie potrzebujesz skinąć nawet palcem. Ono cię podeprze, mimo, że odnajdziesz w samym sobie podpory, a więc podeprze cię tak, jak tego sobie właśnie nie życzysz;

ono cię obdarzy, ale nie tem, czem chciałbyś być obdarzony; ukoi cię, gdy jesteś ukojony, lub w odmęty cię zepchnie rozpaczy, kiedy jasną płoniesz radością. Błyszczące pozorami rzeczy wabiących, we wszystkiem wyręczy cię życie, podminowane zresztą treścią, którąbyś podeptał, ponieważ grozi ci zatratą.

Zrodzisz myśl, a ona błyśnie ku tobie z otoczenia fałszywą, wyszminkowaną twarzą nierządnicy w okrutnem spaczeniu swej pierwotnej pełni, chociażby dostojnie nawet piękny był pierwszy kształt jej zarodu. Dokonasz czynu, a z przestrzeni przytoczy się pod stopy twoje wstrętny potworek, symbol rezultatu twych szczytnych wysileń.

Któż stoi poza tobą w masce szatana i krzywi dzieło rąk i myśli twojej?

Gdzieżem? — zawołasz wreszcie, — we wnętrzu-m li swojem, czy na obszarach wszechżycia istnieję rozatomizowany w potworkowate kształty niezdarnych symbolów i mimowolnych samozaprzeczeń?

Życie — to maestro-złodziej. Okrada cię ze wszystkiego, a przedewszystkiem z samego ciebie, i fałszywą twą odmianę pokazuje na swym wszechekranie, na którym koziołkujesz w komicznych podrygach, by uchwycona zdobycz. I ani się spostrzeżesz, kiedy wnętrze twe zastąpi sucha maszynerya, skrzypiąca automatyzmem zohydzonego intelektu.

Gońtski, widząc córkę czegoś zasępioną, rzekł jakby z pewną chęcią udobruchania jej:

— Właściwie to się już chyba domyślasz, że to Pacz powiadomił mnie o stosunku, łączącym cię z Kosławskim. Powtórzył zresztą to, co sam słyszał od ludzi.

— Dlaczego ojciec nie powiedział mi tego odrazu?

Uśmiechnął się filuternie.

— Miałem w tem pewne swoje wyrachowanie.

— Czy Benedykt Pacz jest dla ojca bezwzględnie sympatycznym człowiekiem?

— Naturalnie! — potwierdził żywo i tak, że już najmniejszej nie miała wątpliwości.

Dodał jeszcze:

— To zresztą syn najlepszego z mych przyjaciół.

Teresę przeszedł dreszcz na myśl, że nawet sam ojciec, człowiek tak jej blizki, stanie kiedyś niezawodnie wpoprzek jej pragnieniom. Przeczuwała to w sposobie jego odezwania się o Benedykcie. Kiedy o nim mówił, drżało coś w głosie starca bałwochwalczego. Niewątpliwie musiał on od czasu ostatniego widzenia się z nim ułożyć plan zamachu na wolność córki i teraz postanowił wytrwać w swym starczym uporze, nie spodziewając się zawodu z jej strony. Tylko afera z Kosławskim była mu trochę nie na rękę;

jednakże sądził, że jej miłość, którą zakwalifikował do „przelotnych miłostek“, rychło wygaśnie i że będzie ona nowego szukała dla się ujścia, nowych podstaw dla prawdziwej już teraz miłości. A przedmiotem jej nieodwołalnie miał być Pacz.

Tak oto życie miało na swej fali przynieść Teresie skarb, ale nie ten, który ją mógł zadowolnić.

— Powiedz mi, droga Tereso, czy ty żyłaś dobrze z Kosławskim?

Uderzyły ją niesmakiem ton głosu ojca i natrętne, blizkie spojrzenie, jakiem ją całą ogarnął.

— Jak to mam rozumieć, ojcze?

— Dosłownie.

— Zaręczam, że nie kłóciliśmy się wcale — odparła szorstko.

Poruszył się niecierpliwie.

— Nie o to mi chodzi. Jesteś przecie o tyle dojrzałą, że powinnaś mnie zrozumieć...

Tknięta głęboko, odsunęła się od starca. Więc w imię jakiegoś życiowego interesu zapuszcza się bezlitośną sondę do najskrytszych zakątków duszy? zdziera się wszystkie zasłony? plugawi najświętsze uczucia? A gdyby nawet tak... było, czyż nie wolno jej osłaniać swego wnętrza tajemnicą, aby jej dziewiczością podtrzymywać swe siły?

— Ojcze — rzekła, — gdyby stosunek

mój z Kosławskim był taki, że powinnaby go osłaniać tajemnica, z pewnością nie wyznałabym ci szczerej prawdy, nie ze wstydu, lecz żeby się nie osłabiać odsłanianiem istoty rzeczy. Na szczęście, nie mam czego ukrywać, przeto wyznaję, że w naszym stosunku nie zaszło nic takiego...

— Coby było karygodnem... Czy tak? Ale ja chcę wiedzieć napewno.

Głos jego zabrzmiał z nieprzepartą stanowczością.

Wstała wzburzona.

— Jaką z domu wyjechałam, taką powróciłam. Aliści nie moja w tem zasługa, lecz okoliczności. Nie zwykłam się bowiem krępować.

Odeszła, wykręciwszy się na pięcie. W salonie zastała całkiem niespodzianie matkę. Chciała się cofnąć, ale było już zapóźno. Pani Gońska, uśmiechnięta, z tajemniczą dobrotliwością przywołała ją do siebie gestem ręki.

— Pamiętasz, Tereniu, tę twoją wiszącą koło lustra fotografię? Jesteś na niej bardzo dobrze zrobiona. Pan Benedykt za swej bytności u nas przyglądał się jej długo i uważnie. Utrzymywał, że jesteś bardzo ładna i że masz mądre oczy.

Zmierzyła matkę ostrym wzrokiem. Staruszka aż się cofnęła, chłodniejąc w postawie i wyrazie twarzy.

— Nic mnie nie obchodzi, co mówią o mnie mężczyźni, którzy są kandydatami na mężów.

Stara pani potrząsnęła frasobliwie głową.

— Co z ciebie będzie?

Dokończyła syknięciem:

— Chcesz zostać starą panną!

— Wcale mnie ten los nie przestrasza.

— Ale przestrasza nas, rodziców, rozumiesz? Odpowiedzialność za twój los ciąży na nas.

— Proszę pozwolić mi być odpowiedzialną za samą siebie.

— Rozumiem. Jeszcze ci ten Kosławski w głowie. Piękna perspektywa! Hołysz, literat, świeci łatami i ma zapewne dziurawe kamasze. Ciekawam, ciekawam...

— To jest jedynie dla mnie ciekawa kwestya.

— Zapewne. Bo może... hm... A pisuje on przynajmniej do panny listy? pamięta? Nie? I panna mimo wszystko... To dziwne, to bardzo dziwne...

— Obraża mnie mama tym sposobem przemawiania do mnie.

— Chodząca niewinności! żebyś ty choć raz przyjęła jaką winę na siebie!...

— Choćby niepopełnioną?

— Kto tam wie...

— Byłoby łatwiej naciskać, przymuszać mnie...

— Nie znasz chyba życia. Nie odczujesz nawet przymusu, kiedy spełnisz to, co my chcemy.

— Jeśli będzie zgodne z moją wolą.

Gońska poczerwieniała i z ust jej wyrwałoby się niechybnie jakieś ostre słowo, gdyby w tej chwili nie wszedł do salonu pan Goński, który, zaniepokojony nagle, udał się na poszukiwanie córki. Starzec zmierzył obie kobiety żarzącym się wzrokiem.

— Widzę, że jesteś niepoprawna — rzekł do żony. — Po co te ustawiczne z Teresą utarczki?

— Świat się kończy. Kiedy ją bronię, jesteś niezadowolony; kiedy ją ganię, tak samo. Czego ty chcesz właściwie? Dajcie mi święty spokój! — wzruszyła wreszcie ramionami zdenerwowana staruszka i zwyczajem swym odeszła w głąb mieszkania majestatycznym krokiem.

Przez chwilę trwało przykre milczenie. Ojciec i córka nie śmieli podnieść na się oczu. Wreszcie pan Goński, zerknąwszy z ukosa na Teresę, pokiwał głową i rzekł dziwnie starczym, przejmującym głosem:

— Połóż się już spać. Późna godzina.

Czując, że mimo wszystko ma w nim swego obrońcę, w wymownem milczeniu odeszła do siebie.

W swoim pokoiku rzuciła się na otomanę i przeleżała na niej długo z chaosem rozpętanych w mózgu myśli.

Wytrącono ją z chwilowego spokoju. W za-

czątek jej wewnętrznego odżywania wtargnęła rozjuszona moc życia i rozbiła skorupę, pod którą znalazło przytułek jej męczeństwo. Jak ziarno, wyłuskane z powłoki, została wystawiona znowu na zabójczy wiatr życia.

Wydrzeć się z domu, choćby przemocą, uciec, byle tylko nie znosić tych męczarni.

W nocy dręczył ją sen okropny.

...Jej snem objęty organizm pochwycił w swe lepkie macki sturamienny olbrzymi polip, usiłując przyciągnąć ją do swej rozwartej potwornie paszczy. Naprożno miotała się w uwięzi jego potężnych splotów, co tysiącznymi owinęły ją pierścieniami. Dygotała, jak listek, jęczała przez sen, płacząc krwawo za traconem życiem. Dopiero, kiedy potwór położył ją sobie na szeregu kłów dolnej szczęki, skurczyła się w kłębek, wstrząsana spazmem przedskonnej rozpaczy. Potem jeden straszny zgrzyt, ohydny bełkot niemiejącego języka, poczucie rozdławienia wszystkich członków i bluzgocący krwią chrupot kości...

W czeluść gardła wtłacza się zduszony krzyk przerażenia, oczy otwierają się szeroko, powracająca zwolna świadomość rzeczywistości daje posmak radosnego ukojenia, że to przecież był tylko sen...

VIII.

Nazajutrz Teresa aż do popołudnia przesiedziała w swym pokoiku, nie mając wcale ochoty widzieć się z kimkolwiek. Nawet przy wspólnym stole nie jadła obiadu, tylko kazała go sobie przynieść. Pożywiwszy się, wybrała sobie do czytania powieść, poczem poszła do ogrodu, mając zamiar tam aż do zmierzchu pozostać.

Na dworze panowało niezmierne gorąco; brzęczenie owadów w trawie i krzewach drażniło nerwy; ukryła się przeto w altanie, obrośniętej tak gęsto pnączami, że niemal ciemniej od cienia. Siadła na ławeczce, złożyła ręce na kamiennym stole i zadumała się głęboko, zamiast zabrać się do czytania. Wreszcie zapomniała całkiem o książce. Upał, przenikający ze dworu do wnętrza altany, rozebrał ją, osłabił ociężałością i rzucił jej myśli na pastwę jakby anemicznych, półsennych rozmarzeń.

Oto altana o ciemno-zielonych ścianach, przez których pory prześwitują tu i ówdzie blaski złotego dnia. Wewnątrz szary od starości, bezkształtny stół kamienny, pełen wilgotnych szczelin i pęknięć, zarośniętych mchem brudnawym. A od jednego do drugiego boku wejścia opasuje go półkolem ułożone z płyt kamiennych siedzenie. Przez wejście, które jest prostokątnym otworem, wyciętym w gęstej masie zieloności, wpada snop

słonecznego światła i na ziemistej podłodze altany aż do podnóża stołu maluje złotą ścieżkę, odrzynającą się wyraźnie od szarości ogólnego tła. Czasem zabrzęczy w liściach pnączów drobna muszka, a wydaje się wtedy, że brzęczącym tym owadem jest cała altana, — takiem donośnem rozbrzmiewa echem słabiutki głosik tego stworzonka. A upał, okropny upał ciepłemi falami ogarnia organizm. Wzrok błądzi w półsennem dokoła znużeniu i widzi mirażowe kształty krystalicznych naczyń, napełnionych do wierzchu przezroczym nektarem źrodlanej wody. Obraz jednak, widziany nawpoły oczyma, nawpoły wyobraźnią, poczyna bezkształtnieć, tracić wyrazistość konturów, zasnuwać się mgłą, mętnieć i ginie nagle w jakiejś ciemni, rozwartej w głębi samego umysłu. Jeszcze kilka ostrych przypomnień z życia, sytuacyi, wirujących ech rozmów, błyskawicznych skrótów i przejmujących zrozumień wielu przedtem z pozoru beztreściwych rzeczy — i mrok, mrok snu ciężkiego, jak kamień.

Teresa zasnęła.

Na podgiętych rękach spoczywała głowa dziewczęca w oplocie pysznych, złotych warkoczy, które się teraz nieco rozluźniły i opadły niedbale, rozsypane w pęk ślicznych kosmyków. Regularne rysy twarzy rozprzęgła upajająca rozkosz snu, zmiękczyła je i wyokrągliła wszelkie wypukłości, nadając im swobodny, naturalny, nawskróś

kobiecy wyraz, opieszczony tchnieniem wewnętrznej słodyczy. Długie rzęsy przymkniętych powiek rzucały na podoczne płaszczyzny cień, brwi zaś, jakby w wyrazie pewnego zdziwienia podniesione nieco do góry, dwoma wspaniałymi łukami odkreślały czoło od pozostałej części twarzy. Dusza jej w tej chwili musiała być kwiatem, który swe istnienie odczuwa jako najdoskonalsze szczęście. Tak, w tem pięknem, młodem ciele nie mniej piękny, dźwigający go do życia, musiał tkwić gest. Niepokalanie biała, czysta płaszczyzna czoła lśniła dziewiczą prostotą myśli, czarem zadziwień, że jest się nawet wobec samego siebie pięknym.

Od chwili jej zaśnięcia nic się nie zmieniło w pogodzie natury. Słońce było dobre i nie przepuszczało więcej, niż przedtem, piekących do wnętrza altany promieni. Aby nie dokuczyć śpiącej. Wiatr nie wiał; było cicho, jak poprzednio. Aby szumem swym i skrzypieniem gałęzi nie spłoszyć dobroczyńcy, snu. Nawet muszki i komary brzęczeć i spacerować przestały po gładkiej skórze jej twarzy. Aby uczcić jej spokój. Jedna tylko książka wysunęła się z rąk i groziła spadnięciem na ziemię. Lada chwila mógł powstać stukot, groźny mocą rozpędzenia jej dobrego snu.

Nagle wszedł do altany jakiś ogromny cień i zasłonił sobą zupełnie prostokątną słoneczną plamę wejścia. Był to człowiek. Na widok, jaki

się oczom jego przedstawił, stanął w niemem zdumieniu i patrzał na zjawisko młodej dziewczyny. Silnym swym wzrokiem dotykał prawie twarzy śpiącej. Pierś mu falowała. Musiał być niechybnie zgrzany i zmęczony. Wreszcie w przyzwoitem od niej oddaleniu siadł po drugiej stronie stołu i wpił w nią wzrok żądny, badawczy. Po upływie kilkudziesięciu sekund stężałe w śnie rysy Teresy zadrgały nieznacznie, dotychczas równy oddech zmienił się w głośny i szybki, cała jej postać jęła się z oparcia stołu lekko w bok osuwać, nie mogąc — zda się — dłużej utrzymać się w tej samej pozycyi.

Nagle narobiła łoskotu spadająca na ziemię książka. Teresa drgnęła, wyprostowała się szybko i spojrzała machinalnie prosto w oczy siedzącemu naprzeciwko niej mężczyźnie. Był to bezwiedny odruch, spowodowany odczuciem czyjejś obecności. W oczach jej odbił się wyraz lęku i ogromnego zdumienia. Cofnęła się w tył, wtłoczyła plecami w roślinną ścianę altany z podniesionemi w górę ramiony, ponieważ, oparłszy ręce o kamienne siedzenie, zawisła na nich ciężarem całego swego ciała.

Czy to sen, czy rzeczywistość?

Rzeczywistość!

Benedykt Pacz, gdyż on był właśnie owym, co wtargnął w czasie jej snu do altany, stał już przed nią, przegięty w konwencyonalnym ukłonie,

trzymając kapelusz swój tuż przy samej piersi, jak gdyby się nim wachlował przed chwilą.

— Witam i przepraszam panią — rzekł, — iż w czasie, kiedy pani rozkosznej oddawała się drzemce, pozwoliłem sobie na wejście do altany i zakłócenie spokoju pani.

— Aż wstyd mi doprawdy. Gorąco mnie zmogło. Bardzo dobrze pan zrobił, budząc mnie.

Podała mu na przywitanie dłoń.

— Nie mogę się żadną miarą zoryentować, skąd pan się wziął tutaj.

— Dopiero co przyjechałem wprost z dworca. Widzi pani, jakim zakurzony.

Teresa uczuła się nagle w dobrym humorze.

— Skoro nie jest pan senną marą, proszę mi wszystko opowiedzieć.

— Z miłą chęcią. Zajechawszy przed dom państwa, przedewszystkiem nie znalazłem nikogo ze służby. Wszedłem przeto do mieszkania, do jednego, drugiego pokoju: niema nikogo. Myślę sobie: wyjechali, albo zamknęli się w sypialni i używają poobiedniego wywczasu. Postanowiłem przeto pójść do ogrodu, odnaleźć jaki cienisty zakątek i tam czekać. Mimochodem zaszedłem do altany. Tu całkiem niespodzianie zastałem panią, a ujrzawszy ją śpiącą, skonstatowałem, że skoro nawet pani śpi, wypada mi, jeśli już samemu także nie zasnąć, to przynajmniej usiąść i nasycać się widokiem szczęśliwości sennej.

Przyznaję ze skruchą, że przez kilka minut podpatrywałem panią, a raczej przyglądałem się jej tylko, usilnie starając się o odgądnięcie, o czem pani śniła.

— Czy to się panu udało? — zapytała z ożywieniem, nie pomnąc swej poprzedniej niechęci do tego człowieka.

— Prawdopodobnie miała pani sen dobry, krzepiący, lekki. Czy nie był to sen o szczęściu? — zapytał, uśmiechnąwszy się, jak do dziecka.

— Odgadł pan. To był naprawdę sen o szczęściu.

Zarumieniła się i nagle spochmurniała, czując, iż rozmawia z nim zbyt swobodnie.

— Niechże mi go pani opowie.

Poczęła flegmatycznie, z pewnym odcieniem żalu w głosie:

— Skoro się już zdradziłam przed panem, że miałam sen, to go panu opowiem. Otóż śniło mi się, że cała altana, naświetlona blaskiem słońca, niby złota bania kulista, w której wnętrzu się znajdowałam, odpłynęła w błękitne przestwory świata. Co to był za wspaniały widok! Widziałam błękit nieba przez złote przejrzyste ściany bujającej altanki. Było mi niezmiernie dobrze pod tym zaklętym kloszem wiecznej — zda się — szczęśliwości. I zrozumiałam, że moja wędrówka owa w złotej kuli jest szczęściem, jedyną przynajmniej formą, w jakiej może się

ucieleśnić tak bezpłodnie i niedołężnie wyobrażane sobie szczęście. Niestety, poczucie to jednak trwało krótko. Oto na zewnętrznej powierzchni mego balonu wykwitł kształt olbrzymiego pająka, który począł go obmotywać siecią bezlicznych pajęczyn. I obmotał go zupełnie. Kiedy to się stało, w napowietrznym pojeździe moim nastała ciemność, a mnie samą objęło poczucie znikomości wszechrzeczy...

— Więc to taki sen! — mruknął, a ponury wyraz twarzy ściągnął mu rysy w niesamowicie groźnie linie.

— Symbol, doskonały symbol! — powtórzył. — Owa bujająca altana to życie, płynące naturalnym, niewymuszonym biegiem rzeczy. Ale to tylko to życie, które wystrzela z nas prostą linią w kierunku najistotniejszych naszych dążeń, niezałamaną przez nacisk zewnętrzny, nie zbaczającą z swej inercyjnej drogi. Ów pająk zaś to życie zewnętrzne, życie naszego otoczenia, co niejednokrotnie wszelką samodzielność krępuje powrozami swej woli i wlecze za sobą, spychając ją z drogi prawdziwych jej przeznaczeń. Bo przecież w każdym z osobna żyje jego przeznaczenie. Życie, naginające nas przemocą ku swym formom, fałszuje nasze przeznaczenia, i stąd pochodzi wiara w tak zw. fatalizm. To też każdy człowiek jest twórcą własnego przeznaczenia, o ile nie uległo ono jakiemuś gwałtowi. Kto tego nie

dopnie, musi uledz t. zw. fatalizmowi, krótko mówiąc, fałszerstwu, jakiego dokona na nim rzeczywistość. Jeśli głębiej wniknąć w środowiska ludzkie, co krok się spotka kalekie egzystencye ze sfałszowanem do połowy albo całkowicie przeznaczeniem. Cóż to za ludzie? Nieszczęśliwcy, wynaturzeni i wysadzeni z własnego siodła. Często nawet o tem nie wiedzą sami, zwłaszcza ludzie przeżyci, którzy w 30 roku życia dojdą do krańca swego ja. Potem już poczynają żyć i posiłkować się li-tylko wchłanianą w siebie konstrukcyą z mechanizmu społecznych ustaleń i uformowań. Oto najprawdziwsza w świecie tragedya człowieczeństwa, wyzuwanego ze swego ja. Oto przejście z jasności do mrocznej jaskini życia, czasem świadomie, częściej bezświadomie.

Podniosła uważny wzrok na Pacza. Zainteresowały ją jego myśli. Uzupełnił niejako treść jej snu, rozwinął, pogłębił go, uczynił pełnym wartości.

— Słuchając pana, odniosłam wrażenie, iż przeczytałam ustęp z jakiejś wspaniałej książki. Można się od pana wielu rzeczy nauczyć — dodała z prostotą.

— Zwłaszcza, jeśli się posiada tak rozumnego, jak pani, słuchacza.

Po chwili namysłu zapytał:

— Jak pani spędza czas na wsi?

— Bardzo zwyczajnie. Mówi się tylko, że od-

poczywam po życiu wielkomiejskim, a właściwie...

— Właściwie męczy panią i to życie — dokończył. — Czasem jednak dobrze jest przemódz się i zasklepić w tej ciszy. To zdrowiej. Przestaje się być zresztą monetą, obiegającą wszerz i wzdłuż. A to tak wyciera, niweluje...

— Pan jednak żyje w ścisłej łączności z szerokim światem i jest pan z tego, zdaje się, zadowolony.

— Tak, pani, żyję, ale ja na to już mogę sobie pozwolić. Jestem wyćwiczony i dostatecznie zahartowany.

Przy ostatnich słowach w jego oczach zamigotał jakiś błysk stalowy, brwi się chmurnie ściągnęły, formując na czole głęboką brózdę pionową.

— Należę do tych — ciągnął dalej, — którzy w imię własnych dobrze upodstawnionych postulatów walczą bezwzględnie i bez kompromisów. Używam nawet brutalnej przemocy tam, gdzie trzeba łamać przeszkody i rozbijać mury. W każdej mej myśli i czynie tkwi bezgraniczny egoizm mej woli. Jeśli w walce przeciwko czemuś brak ci poczucia, że się mylisz, walcz nieustraszenie, krzyżuj miecz swój z mieczem przeciwnika, stawaj się brzemiennym w moc, osłaniającą cię obronnym puklerzem, w który dopiero miażdżącymi trzeba godzić pociskami, aby go choć w części nadkruszyć.

Zapanowało milczenie.

Słońce musiało być już na nieboskłonie, gdyż znikła plama słoneczna, leżąca u wejścia altany, i powietrze stało się mniej dusznem, niż było przed godziną.

Wyszli z altany, zmierzając powolnym krokiem ku domowi.

— O jedno tylko proszę pana — rzekła, — niech pan przed rodzicami nie wspomina o naszem poprzedniem spotkaniu się w pociągu.

Pacz zrobił zdziwiony wyraz twarzy.

— Bo, widzi pan, ja nie pisnęłam o tem ani słówkiem nikomu.

— W jakim celu ukryła pani tak niewinny zresztą przypadek?

— Proszę mnie nie pytać, lecz usłuchać; dobrze?

W proszących jej oczach wyczytał niemiły jakiś wyraz.

— Aha! — szepnął krótko, jakby z pewnym domysłem, i na twarzy jego odbiło się pewne ledwo dostrzegalne zmieszanie.

Na werandzie siedzieli już małżonkowie Gońscy. Powiadomieni o przybyciu gościa, ujrzawszy zbliżających się młodych, obojgu życzliwie ciekawe posłali spojrzenia. Teresa i Pacz przyspieszyli mimowoli kroku. A kiedy dochodzili do schodów, starzy udali, iż są bardzo zajęci jakąś rozmową.

Nastąpiło ceremonialne przywitanie, poczem wszyscy zasiedli dokoła nakrytego do podwieczorku stołu.

— Pan oczywiście głodny być musi i zdrożony — rzekła do Pacza pani Gońska. — Ładna z ciebie, Tereniu, gospodyni, skoro nie poprosiłaś pana na podwieczorek zaraz po przybyciu. Powinno się pamiętać o gościach.

Staruszka wyszła zapewne do kuchni wydać potrzebne rozporządzenia.

Pomiędzy starym panem Gońskim a gościem zaczęła się rozmowa o kwestyach zgoła dla Teresy obojętnych. Załatwiali dalszy ciąg jakiejś sprawy, która ich już przedtem zajmowała. Podniosła się przeto z siedzenia i podążyła w ślad za matką. Zajęta dyrygowaniem służbą staruszka, widząc nadchodzącą córkę, podeszła do niej z rozpromienioną twarzą i poczęła wypytywać ją poufnie o bliższe szczegóły rozmowy, prowadzonej w altanie z Paczem.

— Widzisz, sama mówisz, że to mądry i niepospolity człowiek. Czego chcieć więcej. Ma nawet majątek.

Teresa wydęła wargi, gdyż matka temi słowy wzbudziła w niej niesmak.

— A cóż to mnie obchodzi, że on ma majątek. Niech sobie będzie mądry, niepospolity i niech ma majątek.

— Tak??

W owem „tak“ był groźny pomruk zanoszącej się burzy.

Stara pani popatrzała na córkę zimno, niemal nieprzyjaźnie. Milcząc, odstąpiła od niej i wydawać jęła służbie rozkazy ostrym, podniesionym tonem głosu. Teresa tymczasem ukryła się w swym pokoju.

Przy stole zauważono potem jej nieobecność, ale z powodu zachmurzonej twarzy gospodyni domu nikt nie śmiał pytać o nią. Rozmowa toczyła się długo i bardzo ociężale. Dość późno już było, kiedy niby od niechcenia zapytał pan Gońcki:

— A gdzie Teresa?

Pacz spojrzał ciekawie, stara pani wzruszyła niecierpliwie ramionami, rzuciwszy mężowi lakoniczne:

— Cóż to, nie znasz jej?

Jednocześnie zwróciwszy się do gościa, podjęła:

— Te uniwersytety przynoszą doprawdy zgubę pannom z dobrych domów. To zresztą wogóle uczelnie nie dla kobiet. Przewracają im tylko w głowach i czynią nagle mądrzejszemi od starszych. Jak pan się zapatruje na tę kwestyę?

— Nie będę jej uogólniał — odparł wymijająco zapytany. — Co się jednak tyczy panny Teresy, jestem zdania, że nie straciła napróżno czasu.

Matka Teresy uśmiechnęła się z wdzięczną

życzliwością, jednakże odburknęła szorstko:

— Takim uniwersyteckim pannom tylko romanse w głowie!

— Szanowna pani, przeżycia miłosne mogą tylko pogłębić i rozwinąć duszę. A już dobrze wychowanej pannie, prócz pożytku, przynieść nie mogą żadnej szkody.

— Przeczuwałam, że córka moja znajdzie w panu gorliwego obrońcę.

Stary pan także się rozpromienił i zawyrokował:

— Toby źle było, gdyby młodzi nie stawali po stronie młodych, starzy zaś po stronie starych. W tym jednak wypadku staję niepodzielnie po stronie młodych.

Pacz popatrzał na Gońskiego z głęboką powagą. Był zadowolony z obrotu rozmowy. Nieobecność zaś Teresy jął uważać za dobrą wróżbę.

Dalszy ciąg wieczora spędzono na świeżem powietrzu. Zawarto pewne przymierza, zaciśnięto węzły trwałe i trudno zerwalne, jak to zwykle dzieje się pomiędzy ludźmi dojrzałymi, zmierzającymi do jasno wytkniętego celu.

Teresa zaś, wiedząc, że o nią odbywa się kampania, oddawała się w samotności złym, pożerczym myślom o przyszłości.

Przypomniał się jej pająk, obmotujący siatką pajęczyny złocistą kulę...

IX.

Nazajutrz wszyscy byli dziwnie uroczyście nastrojeni.

Zapanowała powaga sztywnej dyskrecyi.

Obiad przeszedł w milczeniu i pompie, jakiej dotychczas nie bywało. Twarze bez uśmiechów, skupione, niemal surowe; wzrok sięgający li-tylko najbliższych przedmiotów; gesty, wyrażające jakąś pewną stanowczość siebie i pyszną łaskawość.

Suchy ten nastrój zniecierpliwił Teresę i przekonał, że sprawa pomiędzy Paczem a jej rodzicami musiała zajść już dość daleko.

Zachowywano się tak, jak gdyby Teresa była przy stole nieobecna; kompletnie ją lekceważono; natomiast Paczowi w najmniejszym szczególe oddawano palmę pierwszeństwa.

Pominięcie jej osoby ubodło ją do tego stopnia, że miała ochotę popełnić jakiś nietakt. Poprzestała więc na głośnem dźwiękaniu talerzami i innem naczyniem. A kiedy i to nie zdołało zwrócić na nią niczyjej uwagi, przerwała nagle jedzenie i badawczym wzrokiem powiodła po obecnych.

Matka jadła powoli, z namysłem biorąc każdy kęsek do ust, a na twarzy jej malowała się nadmierna jakaś powaga i surowość przy ogólnym wyrazie niezmiernie, zda się, pospolitego zadowolenia.

Ojciec jadł prędko, rzec można—za prędko, jak na jego wiek, poprostu łakomie i oczu nie odrywał od talerza, jak gdyby nic innego prócz obiadu nie miał na myśli.

Benedykt Pacz zaś nie jadł już wcale. Siedział spokojnie, z flegmą przypatrując się własnym palcom, gniotącym na obrusie gałki z chleba.

Teresa nie wytrzymała.

— Wyjątkowej piękności ma pan palce; rzadko który mężczyzna mógłby się poszczycić podobnymi — rzekła z powłóczystem zmrużeniem powiek.

Pani Gońska niespokojnie się poruszyła, uważając zapewne odezwanie się Teresy za nietakt, Pacz zaś podniósł na nią obudzony jakby wzrok, pełen pytania.

— Mogę panią zapewnić, że pigułka, którą mnie pani uraczyła, jest znacznie smaczniejsza, niż te z chleba — odparł, uśmiechnąwszy się lekko.

— Kompliment... To już jest pigułka z pańskiego chleba.

— Tereso! — zgromiła matka.

— Szanowna pani, panna Teresa jest dziś w złym humorze; należy jej to wybaczyć — obronił Pacz. — Cokolwiek powiedziałaby panna Teresa, ja się nie obrażę, gdyż jestem mężczyzną — dodał ciszej, jakby dla złagodzenia.

Wstała gwałtownie.

— Czy pan się wrogów nie boi?!

Uczuł na sobie jej zimne, dotykalne niemal promienie oczu.

— Ależ, panno Tereso! — zdołał wybąkać.

Jej już nie było.

Wyszła ze stołowego pokoju, wzburzona do tego stopnia, że nie wiedziała zrazu, dokąd iść i co robić. Doznała przytem zawrotu głowy. Z tego wszystkiego opanował ją nagły niepowstrzymany gniew. Wypadła, jak burza, do ogrodu, nic przed sobą nie widząc. Zdeptała jakiś kląb, złamała otaczający go misternie płotek, ocknąwszy się dopiero wtedy, gdy kolce różanego krzewu wczepiły się jej w suknię, tak, że dalej nie mogła postąpić kroku. Wydarła się jednak przemocą kolcom, poraniwszy do krwi palce. To ją podnieciło jeszcze bardziej. Miała zamiar rzucić się na trawnik gdzieś popod drzewami, by w tarzaniu się po ziemi wyłkać spazm gniewu, co ją opanował, i w ten sposób jakoś się uspokoić, — gdy zgoła niespodzianie wyrosła przed nią postać Benedykta Pacza, który ją widocznie gonił niezauważony.

Z lekkim okrzykiem rzuciła się w bok. Stało tu rosłe drzewo owocowe. Oparła się o pień jego z założonemi w tył rękami, oczekując, zda się, ciosu.

Ale nie o zadanie ciosu chodziło Paczowi, gdyż stanął przed nią smutny i jakiś bardzo, bardzo łagodny.

To ją nieco ujęło.

Czekała.

— Panno Tereso — rzekł wreszcie, starając się ukryć drżenie głosu, — co to właściwie wszystko znaczy?

Jakiś spazmatyczny skurcz wykrzywił jej wargi; pełen żalu i tłumionego uniesienia wyraz odbił się na twarzy.

— Czego pan właściwie chce odemnie? — zdołała wyjąkać.

— Ja? Ależ pani chyba...

Nie dokończył.

Teresa z powodu tej jego niepewności i zakłopotania uczuła się nagle panią sytuacyi. Niemęskie przytem zachowanie się Pacza wzbudziło w niej niesmak.

— Po co pan przyjechał tutaj? — zapytała wyniośle.

— Ach, tego chyba nie potrzebuję wyjaśniać! — odparł nieco urażony.

— No to ja to panu wyjaśnię.

I, nie zwlekając, poczęła w niekłamanem oburzeniu:

— Przyjechał pan po to, aby starać się o moją rękę. Przyjechał pan po to, aby ją wyhandlować od moich rodziców. Przyjechał pan po to, aby bez mojej wiedzy...

Pacz, blady, jak trup, przerwał jej rozkazującym gestem ręki:

— Dosyć! Zabraniam pani poruszać kwestyę, w której nie przyjmowałaś bezpośredniego udziału.

— Tak, gdyż układy odbywały się poza mojemi plecami. Z góry już wyznaczyliście mi taką, a nie inną rolę, bez względu na mą wolę i swobodę indywidualną. I pan, człowiek tak mądry, byłeś przyczyną tej akcyi, odważyłeś się zastawić na mnie sieć, jak na swoją zdobycz... Lecz nie wpadnę w nią, mój panie, nie!

Waliły te słowa w Pacza, jak pioruny. Nie spodziewał się tak silnego wybuchu. Powściągnął się jednak siłą woli w okazaniu wrażenia, jakie te słowa nań w samej rzeczy wywarły, i udawszy przykre zdumienie, rzekł:

— Pani się myli. Żadnych sieci na panią nie zastawiałem.

— Ponieważ mnie w tej zmowie nie było, przeto łatwo się panu teraz wykręcać. A ja idę w zakład, że jeszcze wczoraj otrzymał pan od moich rodziców przyrzeczenie mej ręki, nie zważając, czy ja zgodziłabym się na to.

— W takich wypadkach zazwyczaj kobiety odgrywają bierną rolę. Dopiero potem...

— Aha, rozumiem. Niezawodnie, gdyby pomiędzy nami nie było przyszło do sprzeczki, byłby mi się pan dzisiaj oświadczył...

— Przepadło. Postawiła pani kwestyę

w ten sposób, że już nigdy nie będę mógł tego uczynić.

W całej jego postaci odbił się wyraz wielkiego przygnębienia. Rysy twarzy zmięły się; powpełzały w jej zagłębienia jakieś mroczne cienie. Odwrócił nieco w bok postarzałą, zda się, głowę i stał tak przed nią, złamany, z gestem pewnej bezsilnej bezradności.

— Zawiniłem — wyszeptał.

Teresie zrobiło się nagle żal tego nieposkromionego z pozoru niczem człowieka, który był teraz, jak biedne dziecko, godne pożałowania. W stosunku do siebie spodziewała się w nim więcej praktycznego rozumu, niźli uczucia. Wszelako miała przed sobą żywy przykład, że Pacz ją kocha. Postanowiła dać mu nieco łagodniejszą odprawę.

— Zapomnijmy o tem, co zaszło między nami — rzekła, — i bądźmy przyjaciółmi.

Po twarzy jego przemknęło pewne ożywienie, zrodzone jakby z odbłysku nadziei.

— O, nie! — zaprotestowała, odgadłszy jego myśl. — Niech pan na mnie nie liczy. Moje uczucia należą do kogo innego. Ale może to nie przeszkodzi nam, powtarzam, być przyjaciółmi...

Pacz zaprzeczył ruchem głowy.

— To niemożliwe, albowiem nie mógłbym cię, pani, przestać pożądać, co wyklucza wszelką

przyjaźń, nie budząc jednak uczuć wrogich, tylko jakiś niedosyt, brak dopełnienia własnej całości indywidualnej. W taką przyjaźń wkradłby się niewątpliwie pierwiastek niezadowoleń i histeryi. Lepiej niech nas przedzieli odległość; pani na tem jeszcze zyskasz, gdyż nie będziesz potrzebowała wysilać się na litość dla mnie; jest to zresztą uczucie, którego nienawidzę. A zatem żegnam panią. Jeszcze dziś wyjeżdżam.

Oddawszy jej głęboki, pełen wyszukanej szarmancyi ukłon, odwrócił się do niej plecami i odszedł w stronę domu.

Została sama w ogrodzie.

Długi czas nie mogła się uspokoić. Było jej czegoś niewypowiedzianie przykro, a nawet czuła do siebie pewien żal za to, że postąpiła może zbyt pochopnie, ulegając przypływowi chwilowego gniewu. Jasno teraz zdawała sobie z tego sprawę, że, bądź co bądź, należało być nieco rozważniejszą i zachować więcej zimnej krwi, licząc się z tem, iż miała do czynienia z człowiekiem miary nieprzeciętnej. Czuła, że to ona właściwie przegrała, że ona, a nie on, dostała odprawę. Bo jakkolwiek zaczął z nią nieszczególnie, tak, że można mu było sromotną zadać klęskę, zakończył całą grę wspaniale, nadając temu zakończeniu treściwą i usprawiedliwiającą go w zupełności pointę.

Snując na ten temat niepocieszające dla

się refleksye, z godzinę wałęsała się po ogrodzie, poczem ku domowi skierowała swe kroki. Przed samym jednak domem zatrzymała się, uderzona niespodzianie świadomością, że to jeszcze nie koniec jej przykrościom. Pacz bowiem, powiadomiwszy o wszystkiem rodziców, musiał już odjechać, co zapewne ściągnie na jej głowę grad bolesnych wyrzutów i utyskiwań. Weszła przeto bocznem wejściem i, prześlizgnąwszy się korytarzem, niezauważona przez nikogo, zamknęła się w swym panieńskim pokoiku w postanowieniu nieopuszczenia go, aż nazajutrz, dopóki nie pozyska więcej równowagi...

X.

Stosunki Teresy z domem zaostrzyły się istotnie. Nagły wyjazd Pacza spadł na Gońskich, jak grom z jasnego nieba. Nie spodziewali się ze strony córki tak stanowczego i decydującego oporu. To też narzekaniom i przycinkom, zwłaszcza ze strony matki, nie było końca. Jednakże ojciec, jakkolwiek sprawa ta nie mniej była przykrą i dla niego, posiadał więcej taktu i względności, tak, że łagodniejsze w tonie i treści

wymówki starca nie drażniły jej zbytnio i nie wywoływały z jej strony wybuchów gniewu. Mimoto pozycya Teresy w domu z każdym dniem stawała się coraz trudniejszą do utrzymania w karbach naturalnego spokoju i zwykłej lojalności. Dochodziło zresztą do sprzeczek, które ją napawały goryczą, niejednokrotnie wymuszając na niej odruchy dość brutalnej opozycyi. To znowu matkę jej wprawiało w tak silne zdenerwowanie, że niesnaski stawały się do niewykorzenienia, przechodząc w stan chronicznie beznadziejny.

Razu pewnego po utarczce takiej z matką, wzburzona do najwyższego stopnia, wpadła do gabinetu ojca w niezłomnem postanowieniu zakończenia w jakikolwiek bądź sposób tego sporu z domem

— Ojcze, muszę wyjechać, choćby tylko na jakiś czas... muszę koniecznie.

Przyjął ją tym razem z surowym wyrazem twarzy.

— Wyjechać? A to poco, jeśli można wiedzieć?

— Nie mogę wytrzymać. Te bezustanne swary doprowadzają mnie do rozpaczy. Wciąż jedno i to samo. Stało się, trudno, nic tu już nie pomoże...

Starzec przygryzł wargi, jak gdyby chciał nadać niezadowoleniu swemu wyraz dosadniejszy.

— Chcesz więc wyjechać, aby zdala od nas żyć swobodniej i bezkarniej? Jeszcze ci się gdzie poślizgnie noga...

— Ojcze!

— Moja droga, jesteś nieobliczalna. Benedykta n. p. przyjęłaś z początku bez zarzutu, a potem do czego doszło?

— Na jednemby zawsze stanęło: byłabym nigdy nie wyszła za niego za mąż.

— Hm... nigdy? Tego byłbym jednak nie przypuścił. Więc ci ten Kosławski jeszcze nie wywietrzał z głowy? A pocóż ty chcesz jechać? Masz nadzieję go może spotkać? co?

Niechcący została odgadniętą w swych najtajniejszych zamiarach. Nawet to, czego sobie sama dokładnie nie uświadamiała, przedstawiło się jej, jako ostra prawda, która, kryjąc się gdzieś na dnie duszy, wywołała w niej instynkowne odruchy dążeń i pragnień. Spostrzegła z przerażeniem, iż chęć wyjazdu była to tylko powrotna fala rozbudzonej na nowo miłości. Zapragnęła go jeszcze raz ujrzeć. Sam instynkt już tak nią kierował, żeby naprężać sytuacyę i przed samą sobą przesadzać bolesność przeżywanych faktów, które nie pozwalały jej rzekomo na blizkie współżycie z domem.

Zarumieniła się i przed badawczym wzrokiem ojca spuściła wzrok ku ziemi.

— Zastanów się, dziewczyno! mówiłaś, że on jest żonaty...

— Nie dlatego chcę wyjechać, lecz poprostu dla świętego spokoju. Wszyscy w tej naprężonej atmosferze tracimy zdrowie; jedyny na to lek: mój wyjazd.

— Dokąd chciałabyś pojechać?

— Gdziekolwiek, chociażby na parę miesięcy do Włoch.

— Tak daleko, sama? Na to przystać nie mogę. Może wybierzesz jaką miejscowość w kraju, gdzie łatwiej o kogoś znajomego; nie byłabyś przynajmniej pozbawioną opieki i towarzystwa.

Zgodzili się wreszcie oboje na wyjazd do Zakopanego.

Ostatnie dnie jej pobytu w domu zeszły spokojnie, bez rozdrażnień, a nawet w dniu odjazdu pożegnano ją dość czule.

XI.

W mglisty, pochmurny ranek wraz z kilkoma znajomemi osobami, które spotkała w wagonie, przybyła doZakopanego. Góry zasnute były mgłami; wyglądały, jak ciężkie ołowiane chmury. Jadąc drogą

z dworca lekkim wózkiem góralskim, przykrytym z wierzchu płóciennym dachem, nie można się było dokładnie przypatrzeć willom i mijanym domom. Zarysy wszystkich budynków, przedmiotów i ludzi ginęły w siwych gęstych kłębach wilgotnej i chłodnej mgły. Pierwsze wrażenie było przygniatająco ponure. Będąc po raz pierwszy w górskiej miejscowości, nie przypuszczała, jak dalece zmiennym i obfitującym w niespodzianki jest klimat górski. Owładnął nią przeto melancholijny jakiś nastrój, który niewypowiedzianą napawał ją czczością i znużeniem.

W pensyonacie dano jej pokój obszerny, o dużem weneckiem oknie z widokiem na ogród, a raczej na mały lasek świerkowy. Przez drewniane cienkie ściany willi przenikał tu jakiś chłód wilgotny. Nie zważając jednak na to, położyła się i wkrótce smacznie zasnęła. Dopiero dzwonek, wzywający na obiad, przywrócił ją do przytomności. Ogarnęła się prędko i poszła na salę obiadową. Schodzili się powoli goście. Niektórzy z panów przedstawili się jej, ze wszystkiemi zaś paniami zawarła natychmiastową znajomość. W sali było ciepło, gwarno i wesoło. Przed rozpoczęciem obiadu toczyła się ogólna nader ożywiona rozmowa, która ją również porwała w swój wir. W przeciągu kilku minut dowiedziała się o całym ruchu życia w Zakopanem, o projektowanych wycieczkach, przed-

stawieniach, miejscowych sensacyach, o tegorocznym nader licznym zjeździe kuracyuszy i rozrywkowiczów, pomiędzy którymi było wielu jej znajomych. W trakcie rozmowy niechcący rzuciła okiem na stół w kącie sali. Leżało na nim mnóstwo pism, książek, albumów z widokami różnych klimatycznych miejscowości. Z okładki jednej z książek błysnęło ku niej nazwisko Stefana Kosławskiego. Zadrżała. Wionęło na nią słodkim urokiem czegoś jakby na zawsze straconego. Zaśpiewały milczące struny duszy tęsknotą, załkało serce spazmem nieutulenia. Jakiś mroczny cień osnuł i sposępnił rysy jej twarzy. Momentalnie z pod zdobytej wysiłkiem woli powłoki zapomnienia i chwilowych zabliźnień jęły się dobywać i na nowo odżywać dawne bolesne, nawpoły rozkoszne przeżycia, a na ich tle z wizyjnym czarem zamajaczyła droga twarz Stefana. I o dziw! Wydało się jej nawet, że tuż koło niej jakby na wezwanie zjawił się nagle cień jego postaci, od której prężyć się począł w jej stronę gorący nieustający szept jego warg. Najwyraźniej słyszała: „Szukam, szukam cię wszędzie“...

Tymczasem zaproszono ją, aby zajęła miejsce przy stole. Uczyniła to, jak lunatyczka, prawie nie widząc i nie słysząc, co do niej mówiono. Jakiś krwawy ciepły mrok zapełnił wszystkie komórki jej mózgu, w którego chaosie

jeden jedyny tylko wirował obraz: książka i twarz Kosławskiego.

Po obiedzie część towarzystwa ze względu na niesprzyjającą pogodę postanowiła iść dla rozrywki do kawiarni. Teresa, mimo zapraszań, odmówiła. Wolała zostać sama, zwłaszcza teraz, kiedy nie czuła się zdolną do utrzymania w licznem towarzystwie. Natomiast poprosiła panią domu o pożyczenie jej książki Kosławskiego, na której widniał tytuł „Tytan", poczem poszła do siebie.

Była to zupełnie nowa książka, o której wyjściu nic nie wiedziała. Opanowana niezmierną ciekawością, zabrała się do czytania. Czytała żarliwie, analizując każdą myśl, każde zdanie, jak gdyby w usiłowaniu wydarcia tej książce tajemnicy duszy autora. Dopiero o zmierzchu skończyła ostatnią stronicę utworu w najwyższej gorączce zdenerwowania.

„Tytan" był to człowiek, który dla idei wyrzekł się ukochanej kobiety. Samopokonywanie i rodzące się stąd cierpienie, kiełznane mocą woli, stać się musiały podłożem jego potęgi twórczej na drodze idei. Ale burza unoszącej go miłości kolebie nim wciąż, jak słabym statkiem, którym co chwila ciska na skały i rafy, nadwątlając go stopniowo. Długo się temu opiera „tytan", lecz, widząc własne niedopełnienie z powodu braku tej kobiety i niemożność

dojścia do zamierzonego celu, przyzywa ją ku sobie wtedy, gdy już jest zapóźno...

Oto cała tragedya.

Nie ulegało wątpliwości, że autor, pisząc tę książkę, miał na myśli własne przeżycia indywidualne. Odczuła to doskonale Teresa, niemało się więc przejęła jej treścią, traktując ją osobiście. Jeśli stosunek do niej Kosławskiego przedstawia się w samej rzeczy tak, a nie inaczej, to jest jeszcze nadzieja odnowienia go i pogłębienia. Dlaczego w takim razie utrzymywał że ma żonę? Na to pytanie Teresa nie znajdowała odpowiedzi. Co się zresztą tyczy tej kwestyi — nawiedziły ją przypuszczenia, że, kto wie, czy Kosławski przypadkiem nie zażartował sobie z niej, ot tak tylko, aby ją doświadczyć, wypróbować jej miłość. Bądź co bądź, Teresa błogosławiła chwilę, w której wpadła jej do ręki powieść pod tytułem „Tytan". Podniosła i ożywiła ją pewna nadzieja, a nawet opanowała ją niewinna zresztą poza kobiety, która kocha i jest kochaną, tylko, że miłość i same warunki tej miłości są niezwykle fantastyczne i tak tajemnicze, że nikomu tego zwierzyć niepodobna. Ów gest wewnętrznej pozy odbił się natychmiast na całej jej powierzchowności. Przybrała na twarz maskę smętnej melancholijności, wyraz zaś tajemniczego rozmarzenia osiadł na dnie jej oczu, a chód jej stał się wdzięcznie niedbały. Sama

dla siebie stała się nagle osóbką nader miłą, godną pieszczoty cieplarnianego otoczenia. Ubrała się w czarną suknię, takiż żakiet i kapelusz. Z pod delikatnej ciemnej siatki woalczanej twarz jej lśniła cudnym matem gładkiej cery, łuki brwi znaczyły się subtelnością linij najwytworniejszego rysunku, oczy błyszczały promieńmi wewnętrznych skupień. Tak wyglądając, wyszła na ulicę, gdzie wsiadła do fiakra, kazawszy mu się zawieźć do kawiarni.

Porannych mgieł już nie było ani śladu. Nawet przetarte nieco z chmur niebo tu i ówdzie patrzyło czystym błękitem. Na zachodzie zaś poza pasmem gór krwawiły się jeszcze na widnokręgu blaski zachodzącego słońca. Na tle tej purpury łańcuch gór wyglądał, jak olbrzymi czarny mur, powyszczerbiany fantastycznie u wierzchu w przełęcze i podniebne szczyty. W powietrzu dość już było szarości pierwszego zmierzchu, tak, że jadąc, twarzy ludzi, spacerujących po deptakach, nie mogła rozpoznać.

Cała przestrzeń oddychała jakby dla niej ożywczym siewem młodej, potężnej nadziei.

A nuż go tu spotka? Może nawet jest w Zakopanem, a ona nic o tem nie wie. Wejdzie n. p. do kawiarni i zastanie go tam siedzącego...

Na samą myśl o tem trwożna jakaś sło-

dycz rodziła się w jej piersi i chwytał ją spazm nieludzko rozkosznej wprost radości.

W rzęsiście oświetlonej kawiarni gwarno było i ludno tak, że z trudem znalazła miejsce, i to przy stole, zajętym przez towarzystwo, poznane w czasie obiadu w pensyonacie. Siedzieli tu jeszcze od popołudnia. Przyjęto zjawienie się Teresy serdecznie i odrazu zasypano ją stosem żartów i wesołych epitetów. Była pożądanym gościem. Zresztą wszyscy, podnieceni bliskością gór i nowemi wrażeniami, byli w dobrych humorach i jeden drugiemu był bardzo rad. Postanowiono na noc dnia następnego urządzić wycieczkę do Morskiego Oka. Teresa oczywiście także zapisała się do grona wycieczkowiczów tem skwapliwiej, że gór nie znała. Określono jej jednak, że po poznaniu tatrzańskiej przyrody przyciąga ona jeszcze więcej, jako że nadzwyczaj jest zmienną i coraz to nowe odkrywa piękności. Mieszkańcowi nizin niepodobna przesycić się górami, gdyż nigdy ich zbyt dobrze poznać nie potrafi.

Do późnej nocy przesiedziała w kawiarni, słuchając malowniczych opowiadań doświadczonych już a także młodych turystów. Otoczył ją nowy, nieznany zgoła świat, jakby świat baśni i czarów.

Nazajutrz przez cały niemal dzień włóczyła się po sklepach, skupując niezbędne do wy-

cieczki przedmioty, a więc serdak, buciki z podkuciami, „ciupagę“, woreczek na przechowywanie prowiantu i wiele innych drobiazgów.

Mimo wszystko, dziwiła się samej sobie, że idzie na wycieczkę. Miała przecież głowę tak nabitą myślami o Kosławskim... Czyniła też wszystko automatycznie z pomocą dwu pań, które jej przy zakupnie pomagały.

Pogoda była przez cały dzień wspaniała; należało się spodziewać, że wycieczka uda się znakomicie. Nastał wieczór równie pogodny, a z nim gorączkowa krzątanina około ostatnich przygotowań do wyprawy.

Dość późno już było, kiedy zjechały się budki góralskie, które zawiozły całe towarzystwo do Kuźnic, skąd już droga bezpośrednio prowadziła w góry.

Rozpoczął się pieszy gorączkowy marsz. Z obszernego gościńca, którym szli, otworzył się widok na cząstkę gór, obrośniętych lasami, od których dzieliła zaledwie kilkudziesięciometrowa przestrzeń. Księżyc świecił jasno i na złoto mościł drożny pył popod stopami. Świerkowe tylko bory, okrywające stoki gór, majaczyły czarnemi łaty, jeno gdzieniegdzie lśniąc na łysych wierzchołkach, niby rzek powierzchnią, obfitym blaskiem. Powietrze było czyste, rośne, napojone ożywczym chłodem nocy i zapachem traw i ziół rozlicznych. Pod mostem szumiał łyskający sre-

brem pian i bryzgów potok. Szedł z gór głaźnem korytem i roztrącał swe wody z hukiem o wystające duże kamienie, którymi dno jego formalnie było zasiane. Rwał z pędem naprzód, niby szaleństwo żywiołu, uwięzione w ciasnem łożysku brzegów, nie mogące rozkiełznać swej potęgi w orkan jakiejś nadnaturalnej grozy.

Po przebyciu mostu weszli w las, gdzie nieprzenikniona już rozpanoszyła się ciemność. Zaczynała się mozolna droga pod górę, pełna kamieni i niebezpiecznych wyboi. Na wszystkich powiało tajemnicą głuchej pustyni, skupionej jakby w potędze swej martwoty. Jednocześnie z mrocznych ścian lasów wyłaniało się coś niepomiernie olbrzymiego i przytłaczało jestestwa ludzkie jakimś niemym a niewidocznym ciężarem ślepej niepojętej mocy. Trzeba było podtrzymywać pierwsze wrażenie siłą woli i nerwów i pokrzepiać się choćby sztucznie nawiązywaną rozmową. Zresztą, rzecz dziwna, wszystkim turystom przypominały się teraz ich ogniska domowe i dnie pełne pogody i słońca. Czego się było obecnie w rzeczywistości pozbawionym, dotwarzało się instynktowną pracą wyobraźni.

Posuwano się zwolna, wciąż pod górę, w poczuciu, jak gdyby tej drodze końca nie było. Dopiero po upływie godziny dotarto do jakiegoś wąwozu wśród nagich skał i kamieni. Droga szła prosto i po równi. Cały wąwóz za-

lany był poświatą księżyca. Skały wyglądały, jak sfinksy, a często, jak olbrzymie potwory ludzkich kształtów. Czasem granitowe kolosy przedstawiały się, niby ustawione szeregiem wspaniałe pałace. Miało się wrażenie ulic wymarłego miasta.

Minęli potem jakąś rozległą trawiastą dolinę i znowu weszli w las, i znowu podobna do poprzedniej zaczęła się droga pod górę, tylko tym razem dłuższa i bardziej pochyła. O pierwszem bladem świtaniu wydostano się na obszary ogromnych płaskowzgórz, gdzie pełno było ścieżek i dróg wygodnych. Stąd już widok był imponujący na całą górską okolicę. Widać było jak na dłoni wszystkie najwyższe szczyty: Gewont, Świnnicę, Zawrat, Orlą Perć, Mnicha, Mięguszowieckie, Garłucha...

Chłód przenikał członki, — wiał dość silny wiatr, jak zwykle na wyżynie; trzeba się było starannie owijać w szale i peleryny.

Teresa, drżąc febrycznie, nagliła wszystkich do pośpiechu. Ale trudna to była sprawa, zwłaszcza z kobietami, które padały poprostu ze zmęczenia. Ktoś zaproponował, aby rozpalić ognisko i ogrzać przy nim skostniałe członki i zabrać się do prowiantów. Nigdzie jednak nie było blizko stosownego miejsca. Po jakimś czasie znaleźli wreszcie wycieczkowicze cichutki pomiędzy skałami kącik, doskonale osłaniający od

wiatru. Rozpalono ogień. Po zaspokojeniu apetytów i chwilowym odpoczynku ruszyli raźno w dalszą drogę.

Na dobre rozpłomieniła się już jutrzenka, kiedy, mając dusze pełne cudownych widoków, stanęli wycieczkowicze u stóp Zawratu, ominąwszy uprzednio brzegiem t. z. Czarny Staw Gąsiennicowy, wtłoczony swem okiem olbrzymiem pomiędzy urwiska zbocza najwyższych szczytów tej części Tatr.

Teresa nie czuła najmniejszego wyczerpania. Zajęła stanowisko na czele pochodu, a wkrótce zostawiła go daleko za sobą, idąc naprzód wytrwale. Minęła malutki Zmarzły Staw, położony nieco wyżej od poprzedniego, a stąd już bezpośrednio szło się skalistą drogą na Zawrat po głazach i gruzie granitowych odłamków.

Ogromną złotą kulą wschodziło słońce.

Gdzieś w górze zauważyła Teresa pnącego się samotnego turystę. Zrobiło się jej trochę raźniej, gdyż była kompletnie sama w tej kamiennej martwej pustyni, widok więc człowieka dodał jej nieco odwagi. Gdzieś z bardzo daleka dochodziły ją nawoływania porzuconego towarzystwa, lecz nie zwracała na to uwagi. Postępując tymczasem wciąż naprzód, nie odrywała prawie wzroku od przypiętego wysoko ponad nią do skalnej ściany turysty. Chyba, że znikł jej z oczu za jakimś złomem czy głazem wy-

stającym, aby znowu się za chwilę pokazać. Coś mimowoli przyciągało wzrok jej do tej oddalonej postaci ludzkiej, ale dlaczego, nie zdawała sobie z tego sprawy. Przyszła jej nawet fantazya dogonić go i minąć, aby tryumfować na całej linii. Po mozolnem, niebezpiecznem chwilami, parogodzinnem wspinaniu się pod górę Teresa docierała wreszcie do przełęczy Zawratowej. Turysty jednak nie dopędziła w czasie drogi, dopiero aż na przełęczy. Siedział do niej tyłem, zwrócony twarzą w rozległą, wspaniałą dolinę Pięciu Stawów, zaczynającą się od stóp Zawratu. Widok był tak imponujący, iż Teresa stanęła, jak wryta, w napięciu uwagi i wszystkich nerwów.

Rzucona do stóp przełęczy dolina ze wszech stron osaczona była granitowymi kolosami szczytów o pstrawem ubarwieniu. Wysoko wzniesione słońce cały ten krajobraz zalewało żywym pełnym blaskiem. Wzrok niemal wierzyć nie chciał, iż to rzeczywistość, a nie obraz wysilonej wyobraźni, nie sen. Przyroda sama przewyższa niewątpliwie wszelkie jej naśladownictwo, choćby doprowadzone do ostatnich granic artyzmu.

Teresa nagle drgnęła, wytrącona ze swego nastroju wtulonem jej jakby w głąb ucha z powietrza jednem słowem: „Tytan“. Jednocześnie zauważyła podnoszącego się z ziemi turystę,

który zakrzątnął się około swoich rzeczy, zamierzając widocznie ruszyć w dalszą drogę. Opanowało ją nagle okropne omdlenie; zdrętwiała w gwałtownym przypływie uczuć, które wzburzoną falą podniosły się z dna jej istoty, — i słowa jednego przemówić nie mogła, gdyż pochwycił ją za gardło bolesny spazm od rozkosznego wzruszenia.

Owym turystą był Kosławski.

Zauważywszy czyjąś koło siebie obecność, odwrócił machinalnie głowę i spojrzał w jej stronę. Drgnął, wzrok mu pociemniał od przyjętego wrażenia jej niespodzianego widoku, na mgnienie oka cała jego postać znieruchomiała w ledwo dostrzegalnym geście niepohamowanej niczem radości.

Po upływie kilku sekund składał jej już głęboki ukłon i stał przed nią blady, z twarzą drgającą i mieniącą się od wzruszeń.

Spuściła ku ziemi wzrok i milcząco mu podała dłoń.

Jakby jej kto płomienie przypiął do ramion, uczuła się znowu uniesioną w krainę miłosnej szczęśliwości. Dusza jej, jak świeży wonny kwiat, otworzyła swój kielich na przyjęcie do swego wnętrza słodkich tchnień rozkoszy i obrazu zjawionego mężczyzny.

— Tytan, tytan mój najdroższy, niezapomniany — przewinęły się jej przez mózg słowa, wypieszczone rytmem rozkołysania.

— Tereso! — wionął upajający szept z warg Kosławskiego.

W przyrodzie zrobiło się nagle tak jasno, jak gdyby słońce, nasycając powietrze przenikającem światłem, zaczerpnęło skądciś jeszcze bardziej intensywnego, potężnego blasku. Od gór i dolin przypłynął szept rzewnego rozmodlenia, a potem nastała cisza, wielka uroczysta cisza.

Istotę Teresy poderwał spazm rozkosznego nieutulenia, zatrząsł nią całą, aż wybuchnęła płaczem, dobrym, szczęśliwym płaczem dziecka, rozbrojona, słabiuchna, wiotka, jak poddająca się pieszczocie wiatru roślinka.

Z urwanym jękiem bólu i roztkliwienia przypadł do niej i niemą miękką gestykulacyą, w której objawiało się całe jego poruszone, rozmiłowane wnętrze, starał się ją uspokoić.

— Tereso, Tereso! — błagał głosem, drgającym jakąś wstrząsającą do szpiku kości łagodnością.

Miał także łzy w oczach i patrzał niemi tak miękko, głęboko i pięknie, iż Teresie zdawało się, że wyłka z siebie życie, że u stóp mu padnie martwa.

Ku nim zaś przytaczało się tajemniczem echem łkanie jakby całej przestrzeni. Zda się,

dzwonił płaczem każdy kamień, szemrała nim każda trawka, śpiewał każdy ptak, przemykający się chyżo powietrzem, szumiało nim każde źródełko, bijące ze skały.

— Tereso... czy... czy mogę?...

Był to nabrzmiały namiętnością, gorący szept mężczyzny. Stał, dyszący żarem, jak płomień, pochylony nad nią, i wpalał jej w głąb ucha te straszliwe słowa, te ostatnie słowa, poczęte w ekstazie zenitowych wysileń i napięcia.

Zbliżała się jakaś konieczność.

Buchnęła mgła omraczającego szaleństwa, wrzącym ogniem nalały się żyły, cała istota poddała się ślepo unoszącemu bezpamiętnie żywiołowi. Omal nie uległa.

— Tereso, czy... czy mogę? — zadźwięczał znowu bezlitosny, odurzający szept.

Z lubością analizowała każde słowo za słowem, których treść tak bardzo jej była zrozumiała. Zawierały one dla niej urok wyjątkowej łaskawości losu, który jej w tej chwili ofiarowywał najwyższe szczęście, jakie tylko w swem życiu osiągnąć może kobieta.

Kosławski wił się, drżał, czekał.

Słodycz roztęsknionej kobiecości rozkwitła na jej twarzy pełnym, dojrzewającym kwiatem. Zblizka, z bardzo blizka wzrok jej padł w głębinę jego oczu.

Powiódł ją za rękę.

Słońce rozszerzyło swą źrenicę, dodawszy swym blaskom jeszcze większej promienności, i patrzało na świat zachwycone.

— — — — — — — — — — — —

O zmierzchu można ich było widzieć nad brzegiem Morskiego Oka. Stali, trzymając się za ręce, a fale, przypływające im do stóp, zdawały się mówić: „Na zawsze!“

Od gór padały olbrzymie posępne cienie, które kładły się w ciemną toń szeroko rozlanych wód i stamtąd wtórnym wyłaniały się kształtem.

Znikająca dama.

Nad miastem rozwłóczyły się brunatne dymy lokomotyw, kominów fabrycznych, palenisk asfaltowych. Duszne letnie powietrze nasycone było przeróżnymi odorami z podwórz i źle wyczyszczonych kanałów. Jakkolwiek zmierzch już nastał, nie prześwitywały z nieba gwiazd promienie i pierścień księżyca nie ukazywał się szukającym oczom przechodnia. Widocznie błękit był zachmurzony, albo też miejskie powietrze na podobieństwo chmur zatłaczało niebieskie perspektywy, oddzielając miasto od nieba. Jedynie świetliste kłęby latarnianych i wystawowych płomieni rozmraczały ulice, szemrzące ludnością. Zewsząd zlewał się strumieniami blask żółty w ciemne czeluście zaułków i bulwarów, którymi paradował tłum ociężały, gnuśny, dyszący leniwym żarem letniego wieczoru. Migotały pstrokacizny strojów, barwy ukwieconych damskich kapeluszy, połyskiwała czerń lśniących cylindrów, majaczyły tysiączne pary oczu tajemnicą nadchodzącej nocy. Tupot i szuranie stóp po trotuarach, bełkot mnogich rozmów, dzwonki tramwajów, dudnienie eleganckich pojazdów i wozów z żelastwem, tu i ówdzie zabłąkane oddźwięki orkiestr, wykrzykiwania kolporterów...

Wszystkie te głosy w dziką i rozpasaną zlewały się orgię jarmarcznej wrzawy i rwetesu. Lecz tłum, znakomicie współżżyty z ową bezsensowną orgią podźwięków, posuwał się naprzód, baczny na wszystko, wyławiający z chaosu możliwie największą sumę wątpliwych zresztą dla się zadowoleń, jednostkową wolą dobywający z pozornego mętu zdobycze także i dla swych czystych pożądliwości.

Na mniej ruchliwą przestrzeń ulicy wypadł z tłumu młody mężczyzna, który, obejrzawszy się parokrotnie, przystanął nagle, jakby czemś zaambarasowany. Binokle na nosie, krótka, ścięta w klin broda, twarz ściągła, wyraziste zaś rysy o subtelnym profilu świadczyły, że należy do sfery t. z. inteligentnej. Możnaby w nim nawet śmiało wyczuwać arystokratę, gdyby nie zaniedbany ubiór i kamasze o krzywych, schodzonych obcasach. Strój jest przecie pierwszym warunkiem na krew błękitną. A filcowy, o dużem rondzie kapelusz nalegał poprostu na bacznego obserwatora, aby zaliczył nieznajomego do kategoryi artystów-malarzy lub literatów. Ale ponieważ dla nas, kim był ów z zawodu, jest rzeczą zgoła obojętną, jako że to, co przeżył i przeżywa w swem wnętrzu, zarówno przeżyć mógł szewc, jak i wysoki dostojnik, przeto nie będziemy mu już więcej poświęcali uwagi zewnętrznej, poczynając natomiast współdziałać z nim psychicznie.

Otóż, jak wiadomo, stanął on w zamyśleniu na ulicy. Cóż to mogło mieć za znaczenie? Nie omyliłby się, ktoby sądził, iż mężczyzna ten nie wiedział, co zrobić z nadchodzącym wieczorem. Było tak istotnie. Czuł się niewymownie znudzonym, szukał więc rozrywki. Ale jakiej? Najbardziej mu odpowiedniej. To mało. Trzeba wiedzieć, jakiej. Ach, kto jest doświadczony, nie pyta o to. Czego o tej porze szukać może młody samotny mężczyzna? Trudniejsza byłaby niechybnie odpowiedź, gdybyśmy ujrzeli młodą pannę, mężatkę, albo podlotka, zamiast niego. Wówczas należałoby przypuszczać koniecznie istnienie jakiegoś przypadku, a może nawet wypadku. Ale młody mężczyzna? Każdy wie chyba dobrze, że...

Najlepiej się jednakże przekonać, by potem nie odpokutować za nietrafne, dajmy na to, domysły. Podejdźmy doń przeto, przedstawmy mu się i wszystko zeń wyciągnijmy zręcznym interwiewem. Tak będzie najlepiej.

— Panie, jak pańska godność?

Na twarzy nieznajomego odbiło się jeszcze głębsze zastanowienie.

...Moja godność? Zaraz... w tej chwili właśnie zapomniałem, myśląc o czem innem... Zaraz... Jakże to brzmi moje nazwisko?... Aha, już wiem! Ja się nazywam... Dante Alighieri... Cóż znowu? Zwaryowałem chyba... Wszak jestem Polakiem...

No, nareszcie! Nazywam się Filip Udręka...

— Wspaniale! Filip Udręka!

... Tak jest, Filip Udręka. Tam do licha... o czem to poprzednio myślałem?... Ciekawe jednak... przedstawiam się samemu sobie... To przecież komiczne! Szczególne mam jednak nazwisko... z tylu składników... Zaraz... Naprzykład „Filip z konopi"... „Filip z konopi"... No, w tem nie tkwi nic pochlebnego... Fi... Fi... Aha! „Pana Fi-fi"... grano coś podobnego w teatrze... A potem „lip"... Drugi przypadek liczby mnogiej od lipa... „Wieczór pod lipami"... Jak to się wszystko doskonale składa! Dalej „ud". Także drugi przypadek liczby mnogiej od „udo". Mnóstwo słów: uderzyć udławić, udaremnić, udusić... Okropne! Było „ud", pozostaje jeszcze „ręka" — i już wszystko. Ręka, ręka, ręka — bardzo dobrze! To mi się najlepiej podoba. Ciekawym, czy w tem wszystkiem jest coś z przeznaczenia.

— Filipie Udręko, dokąd-że to poniosła cię myśl twoja? Żali-ż poto stoi się na ulicy, aby myśleć o takich głupstwach?

...Bynajmniej. Na ulicy stoi się poto, żeby... Poco się stoi na ulicy? Niechybnie zwaryowałem, skoro już nawet tego rodzaju pytania cisną mi się do mózgu. Stanąłem na ulicy, bo mi się tak podobało!..

— Ej-że?!

...Właściwie przystanąłem w tym celu, aby

się zastanowić nad tem, jak przepędzić czas...

— I co?

...Nic. Przecież, do stu tysięcy, miałem jakiś cel, wychodząc z domu...

— Wyszedłeś bez celu, nudziłeś się...

...Teraz już sobie wszystko dobrze przypominam. Wyszedłem z domu w nadziei, że spotkam ją...

— Kogo?

...Ją...

— Kogo?!

...Kobietę, którą kochałem...

— Tyś kochał?!

Filip Udręka rozejrzał się dokoła podejrzliwym zezem w przypuszczeniu, że ktoś tuż z poza jego pleców zadał mu to szydercze pytanie.

...Naturalnie, że kochałem! — wybuchnął w głębi wnętrza swego.

— A teraz już jej nie kochasz?

...Teraz jej szukam.

— Tylko szukasz?

...I kocham także!

Filip Udręka z niecierpliwością trzasnął laską o kamienie uliczne.

— Ostrożnie, bo złamiesz laskę...

...Z miłości dla niej... A niech to wszyscy dyabli! Jabym dla niej wszystko, nawet życie...

— A zastrzeliłeś się, gdy cię opuściła?

...Cóż z tego, że się nie zastrzeliłem?.. Ale

miałem ten zamiar.

— Kłamiesz!

...Bynajmniej. Jeśli zaś nie popełniłem samobójstwa, to tylko dlatego, że...

— Dlaczego?

...Tak mi się podobało!!!

Filipowi Udręce, jakkolwiek wcale głosu z piersi nie wydobył, zdawało się, iż wrzasnął takim głosem, że się obejrzeli nań wszyscy przechodnie.

...Zresztą wytłumaczę, dlaczego nie miałem ochoty przenieść się na tamten świat: mam zbyt tęgi, syntetyczuy umysł. Życie, mimo wszystko, posiada dla mnie zbyt wiele treści i jest zajmujące.

— A widziałeś ty kiedy tę kobietę?

...Owa! Widuję ją codziennie. Niepoprawna kobieta, — codzień z innym przestaje mężczyzną.

— Gdzie jest i mieszka twa ukochana?

...Podobno zagranicą.

— No, widzisz! I tak ją krzywdzisz podejrzeniami...

...Tak, bo niema jej, a jednak jest...

— Czyż to możliwe?

...Możliwe. Ona mieszka w tem samem mieście, co i ja, a jednocześnie i gdzieindziej... Może już zobaczę ją lada chwila.

— W chwili, kiedy ją dostrzeżesz, podejdź do niej.

...Nie mogę. Ona mnie nie zna.

— A ty ją znasz?

...Znam. Tyleśmy przecie czasu przeżyli wspólnie!

— I ona cię nie zna?!

...Ona mnie nie zna. Zwykle przechodzi koło mnie, nie zwracając najmniejszej uwagi.

— Pokaż mi ją, a pomogę ci. Przywołam ją do stanu rzeczywistości, i pozna cię...

...To niemożliwe. Zresztą spróbujmy.

Filip Udręka zakręcił się i wpadł w tłum uliczny. Jarzącym się fosforycznie wzrokiem obejrzał mnóstwo twarzy kobiecych, ale nadaremnie. Czuł się dzisiaj wyjątkowo podrażnionym.

...Już dzisiaj nie przepuszczę jej spokojnie. Zdemaskuję wobec wszystkich, żeby tam nie wiem co...

— Cóż ona zawiniła?

...Oszukuje mnie, zdradza. Nie koniec na tem. Razu pewnego byłem w kinematografie i widziałem, jak w moich oczach pieścił i całował ją jakiś obrzydliwy starzec, a ona z objęć jego patrzała na mnie, śmiejąc się szyderczo...

— Co uczyniłeś wtedy?

...Wyjąłem rewolwer i dałem strzał. Ale trafiłem już tylko w koguta, wyskakującego na ekran. Spóźniony to był strzał. Potem policyantowi, który przyszedł mnie za to aresztować, kazałem ją także aresztować.

— Za co?

...Przecież to bezczelność włazić na ekran kinematograficzny i w oczach wszystkich oddawać się rozpuście. Ale policyant, niestety, sprawdził, że była to tylko fotografia jakiejś artystki kinematograficznej, wcale nawet do niej niepodobnej. A na płótnie przybrała na się formalnie postać mej ukochanej. Jak oszustka...

— A widziałeś ją jeszcze kiedy?

...Milion razy. Raz stałem znowu przed wystawą pewnej księgarni. Nagle wszystkie książki podniosły się z półek, przylgnęły do szyb i nic... Aż tu patrzę i widzę jej twarz w tylu egzemplarzach, ile było książek na wystawie. Rozwścieczony tem, stłukłem szybę...

— I co?

...I nic... Aresztują mnie. I wyobraź pan sobie, kto w biurze policyi siedział zamiast komisarza... Ona!!! I fałszywy ten komisarz chce ściągać ze mnie protokół. Naturalnie robię awanturę i chcę ją bić... A to był, panie, prawdziwy komisarz policyi, nie ona. Kiedy się ona weń przemieniła — nie wiem. Dość, że było tak, jak opowiadam...

— Oskarżyłeś ją pan?

...Ma się rozumieć. Panie komisarzu — mówię — to straszna kobieta. Włóczy się po kinematografach, wystawach, ulicach i licho wie,

gdzie jeszcze. Dziś chodzi po ulicy z oficerem, strojna i wspaniała, na drugi dzień żebrze pod kościołem, kiedyindziej jedzie karetą, przepyszna, niby pierwszej wody arystokratka, potem znów ją widzę, jak sprzedaje kwiaty albo drukowane listy miłosne. Raz nawet widziałem, jak ją przejechał tramwaj...

— No, dość już tej czczej gadaniny, Filipie Udręko. Zdaje mi się, że jej nie kochasz...

...Masz tobie. Ja ją kocham, ale jabym ją zabił, gdyż mnie prześladuje...

— Chodźmy, i ja ciekaw jestem ją zobaczyć.

Filip Udręka zatrzymał się koło wystawy, śledził bacznie przejeżdżające omnibusy, powozy, oglądał wszystkich przechodniów, ale nic podejrzanego nie zauważył. Dopiero po jakimś czasie błądzenia po mieście stanął, jak wryty, tragicznym wpatrzywszy się wzrokiem w nadchodzącą z głębi ulicy damę.

...To ona!

Z bladej, ściągłej twarzy, ukrytej pod olbrzymią krysą kapelusza, żarzyły się pełne otchłannych uroków oczy. Młoda dama szła, szeleszcząc czarnym jedwabiem stroju, wparta tajemnicą swego wzroku w znieruchomiałe, ciemne od skupionych natężeń źrenice Filipa Udręki. Wiał od niej czar magiczny. Magnetycznie wlokła za sobą wzrok patrzącego, pogrążała go

w sobie sondą, szukającą jej wnętrza. Puszyste strusie pióra kapelusza chwiały się fantastycznie w powietrzu, lśniąc smolistym połyskiem w mdłem oświetleniu latarń. Zjawisko iście z dna piekła, aż groźne złowrogą swą pięknością.

...To ona!

Filip Udręka, gdy dama już się zrównała z nim, przystąpił zdeterminowany i rzekł głuchym od nagromadzonego w głębi duszy tragizmu głosem:

— Teraz nie ujdziesz mi, ty!

Dama przystanęła z przebiegłym błyskiem w oczach. Skinęła głową.

— To ty?! Dobrze, że cię spotykam...

To odezwanie się jej osłabiło jego rozpęd. Miał czynić jej wyrzuty szydercze i bolesne, tymczasem ona widzi go chętnie. Zoryentowawszy się przeto, iż niechybnie teraz z łatwością będzie z nią mógł dojść do porozumienia, wykrzyknął głosem, nabrzmiałym rzewnością:

— Nareszcie odnajduję cię żywą po tylu latach rozłąki!

— Więc to ty, ukochany? — zawołała z patosem dama.

— Tak, to ja, pełen nienawiści i szalonej ku tobie miłości. O, wiecznie uciekające mym oczom zjawisko! o, królowo moja!

— Skoro się już odnaleźliśmy, będę ci już teraz królowała z rozkoszą. Odprowadź mnie do domu — zaproponowała sprytna dama.

— Ale wprzód mi przysięgnij, najdroższa, że nigdy już nie przemienisz się ani w wystawę sklepową, ani w bohaterkę kinematograficzną, ani w konnego policyanta, ani w przekupkę...

— Do tyla nie będę już nigdy lekkomyślną. Milszą mi własna uroda, niźli wszelkie przeobrażania się w inne postacie. Przysięgam ci!

— A więc sprawa załatwiona. Pójdę z tobą teraz choćby na kraniec świata.

Przemykali się ulicami, dyalogując patetycznie, ożywieni, pełni chęci najgorętszych.

Dama stanęła wreszcie przed jakąś kamienicą.

— Tu mieszkam.

— Myślałem, że zagranicą.

— Nigdy nie byłam zagranicą.

— Zaproś mnie do siebie.

— Mąż mój jest w domu, nie mogę.

— Ty masz męża?!

Filip Udręka był spiorunowany.

— Od lat trzynastu jestem mężatką.

— Tak?... Czyż to możliwe? Wszakże lat temu pięć, kiedy cię poznałem, byłaś panną. Chyba mnie oszukujesz?

Zaperzył się.

— Kto jesteś? Może ty nie jesteś nią...

Dama uśmiechnęła się rozbrajająco.

— Jestem, napewno jestem. Nie rób-że mi pan awantury! Czyż nasze ekscentryczne poznanie się miałoby tak rychło być rozwiane?

Filip Udręka przystąpił do czarnej damy i przyjrzał się jej z odległości centimetra.

Cofnął się przerażony.

— Tyś tylko do niej podobna! — ryknął.

— A więc... — szepnęła czule, słodko.

— Zginiesz!!

Wymierzył rewolwer w pierś czarnej damy.

— Wraz z tobą zginie wszelkie podobieństwo, które mnie udręcza!

— Szaleńcze!

Padł strzał.

Czarna dama runęła na bruk. Ponurym zezem błysnęły latarnie.

W kłębach ulatującego w powietrze dymu majaczyła twarz ukochanej zabójcy, twarz z drgającemi powiekami. Co chwila się zamykały i otwierały całkiem mechanicznie, w równych sekundowych odstępach. Było to jakby niedołężne naśladowanie mrugania z ukontentowaniem oczyma przez misternie skonstruowany automat, przedstawiający twarz kobiecą.

Filip Udręka z odkrytą uroczyście głową stał na ulicy i patrzał tępo gdzieś w górę...

Szczyt.

O świcie, kiedy słońce, wyotchłaniając się z siwizny wilgotnych mgieł, co niby dymy lokomotyw rozwłóczyły się po widnokręgach, jęło promiennemi włóczniami swej złocistej kuli przebijać ich stłoczone kłęby — ruszyli w drogę.

Wycieczka w góry!

Kto gór nie widział i wycieczek w nie sam nie robił, ten nigdy, nawet mocą najbardziej wysilonych wniknięć, nie odtworzy w sobie tych wzruszeń, jakie się na ich widok przeżywa.

Wnętrza trzech wycieczkowców nasycone były rzeźkością nadziei ujrzenia rzeczy potężnie pięknych, tudzież entuzyazmem pobudzonego w nich życia, radosnem upojeniem cudami przyrody, która przed wzrokiem młodzieńców roztaczała swe dziwy w najdoskonalszej pełni.

Szli, każdy z nich z jakimś na plecach tobołkiem, z siekierkami w rękach, mając żelaznemi okuciami podbite buty.

Szli w góry!

Przed nimi piętrzyły się zwały wyniosłych olbrzymów, ale jeszcze bezkształtne, opięte tumanami mgieł, które ogromnymi, ruchliwymi kłębami spoczywały we wszelkich załamaniach i odstępach pomiędzy szczytami, pochłaniając i strzę-

piąc ich kontury zasłonami obłocznych cielsk, zmieniających co chwila rozlazłość swych kształtów. Dlatego całe pasmo gór wydawało się jednym zwartym murem o nieokreślonych poszarpanych barwach, poplamionym jakby i połatanym. Dopiero gdzieś z ukosa patrzało na to wszystko wschodzące słońce, biło promieńmi w te kłębowiska, niby strzałami — i widać było najwyraźniej, jak tu i ówdzie zwarte masy mgieł rozpylały się nagle w przejrzyste, białe obłoczki nakształt buchającej pary, prześwietlane znienacka słonecznym blaskiem, gonione jego złotymi promyki i rozpraszane w nicość.

Góry dymiły.

Co chwila dokonywała się w ich łonie jakaś katastrofa, gdyż słońce coraz silniej miotało w nie strzałami, rozstrzeliwając ciemne i niewyraźne stłoczenia, w których coraz więcej migotało grotów.

Co tam się działo! Pękał ten niestrzaskany, zda się, mur, kłębił, chwiał się, grał setkami barw, naświetlał stopniowo jasnością, wyostrzał swe kontury, czyścił je, otrząsał z nich potworne narośle mgielnych brył, ginących od pocisków porankowego światła. Jak gdyby w ich wnętrzach wybuchała nagle bomba, błyskały ogniem i smugami rozproszonych dymów ulatniały się z powietrza.

Rodził sią krajobraz dnia po krajobrazie nocy.

Trzej przyjaciele, idąc równinną drogą ku podnóżu gór, w niemym podziwie oddawali cześć wschodzącej potędze świtu.

Wiało stamtąd powietrze czyste, opieszczające świeżym, narzeźwionym ranną wilgocią chłodem.

Z młodych piersi wyrywała się pieśń buty, wzrok jaśniał natchnieniami, wszystkie członki przepajała ożywczość pobudzonych sił fizycznych.

Roztaczał się dokoła wspaniały widok, przed którym zachwycony entuzyazm młodości nie korzył się, lecz nażywiał jestestwa trzech przyjaciół zdrowem poczuciem człowieczeństwa, najbliższego pierwiastkowi Boga.

Stąd już był krok tylko do nadludzkich porywów ducha, o których się dzisiaj nikomu nie śni, do samopoznania rycerskich w swem wnętrzu gestów, do dumnych wyniesień na szczyt intelektu.

Błogosławiona niech będzie strzelistość ducha, piętrzącego się w obszary błękitów ku przeniknięciu niepowstrzymaną swą lotnością wszechobjawień świata!

Nie wyszli jeszcze z doliny, a myśl ich wraz z promieńmi słońca pląsała po szczytach, szczepiąc zawczasu we wnętrzach młodych zawrotne poczucie wyżyn.

Przez wnętrza piersi przepływał pęd słodkich tchnień wiatrowych, w mózgach otwierał się napowietrzny obszar świata, na którego widnokrężnych krańcach perspektywiły się czarodziejskie widoki krajobrazów.

Wyniesione ponad równinę podnóża gór obrastał gęsty las świerkowy, w który weszli, przedzierając się z trudem zaroślami, przeciętemi wązką, usłaną kamieniami ścieżyną. Był to wytężający, nudny, bo aż kilka godzin trwający, marsz zlekka popod górę. Dopiero w połowie drogi otworzył się widok z lasu na powrotną drogę. Widać było, jak na dłoni, dolinę, którą minęli i okalające ją, dalekie łańcuchy gór, biegnące po horyzoncie półkolem aż do pozaleśnej części okolicy, będącej celem ich wycieczki.

Kiedy las się skończył, weszli na płaskowzgórze tuż popod stopami szczytu zwanego „Tum“, którego trawiaste łagodne zbocza na samym wierzchu wystrzelały słupami urwistych skał w niebo. Był to groźny szereg granitowych kolosów, piętrzących się w zwyż ze wściekłą pasyą, prześcigających jeden drugiego potęgą swej nieujarzmionej dzikości. Stały czarne i groźne, opłynięte słońcem, poznaczone tu i ówdzie zygzakowatemi bliznami wiecznych śniegów, przywartych na zawsze do ich wgłębin i krzywych gwałtownych załamań.

Jeden z tych lecących dumnie w obszar powietrzny wierzchołków był wyższy ponad wszystkie i on to właściwie nosił nazwę „Tum“. Pozostałe dwa nieco niższe i kilka innych pomniejszych stanowiły jakby rodzinę jego, której rozszalałym gigantyzmem swej olbrzymiości wskazywał przestwór, gdzie wszelka się dokonywa wyżynność bratniej przyziemności.

Młodzieńcy jęli wspinać się pod górę wązką ścieżyną, wijącą się po zboczu „Tumu“. Droga to była przyjemna i niezbyt uciążliwa. Im wyżej się posuwano, tem rozleglejszym stawał się krajobraz. Na widnokręgach, jak grzyby po deszczu, wyrastały coraz to nowe szczyty, przełęcze, doliny. W dole szumiały gdzieś wartko pędzące potoki, niewiadomo skąd biorące początek. Czasem tylko można było dostrzedz, jak czarna pierś jakiejś olbrzymiej skały tryskała srebrnym słupem pieniącej się wody, która, spadając z dźwięcznym szumem w gardziel przepaści, rodziła echowy grzmot na jej dnie skalistem. Tu i ówdzie leciały graniami delikatne głosy rozlicznych dzwonków. Zdawało się, że to gra powietrze, a to dzwoniły pasące się niewiadomo gdzie w górach stada krów i owiec, strzeżone przez małych juhasów. Chwilami wynurzały się zielone zbocza jakichś wyniosłych turni, nacentkowane drobnymi punkcikami pasących się zwierząt, i szło przestrzenią gwałtowne ujadanie

psów owczarskich i dzikie, swobodne hukania nawołujących się pasterzy.

Teraz już z każdą sekundą rozszerzała się panorama górska; zdawało się, świat się otwierał zachwyconym oczom człowieka. Na niebie ani jednej chmurki, przestrzeń szczelnie wypełniona słońcem, a w niej majaczył jeden tylko najwyższy szczyt „Tum“, bo wszystkie inne, jako bardziej oddalone, zatracały się w perspektywie, ścieląc się głowami do stóp turystów. Cała ta ogromna kraina górska była już jakby w dole, pod nimi, bałwaniąc i chmurząc się piętrzącymi szczytami.

Gdyby ktoś chciał widzieć skamieniałą na wieczność groźną twarz burzy, powinienby się z wysoka przyjrzeć tej masie turni i zwałów granitowych, których kontury, zaskrzepłe w łamańce czarnych błyskawic, wrzynały się ostro w przezrocze słoje powietrza.

Po parogodzinnem wspinaniu się młodzi turyści dotarli wreszcie na sam grzbiet połogiego wzgórza, gdzie kończyła się już bezpieczna, a zaczynała skalista, pełna przepaści i stromych ścian droga ku szczytowi „Tumu“, odgrodzonego od miejsca, do którego doszli, piętrzącemi się jedna nad drugą budowami skał. Wyglądały one, jak sfalowane morze, które pierwej przebyć należało, aby stanąć u celu. Z pozoru było to rzeczą łatwą, ale tylko z pozoru, gdyż w górach

stosunkowo niewielka na oko przestrzeń jest w samej rzeczy obszarem olbrzymim, który chcąc przejść, trzeba się dobrze namozolić i dużo stracić czasu. Każdy krajobraz górski, widziany bezpośrednio, sprawia na nas wrażenie ślicznej, małej miniatury. Jest to jednak poprostu złudzenie, na ktore wysila się jakby sama przyroda, aby ustrzedz się wyraźnego objawiania własnego gigantyzmu, co zbytnio może przerazić drobną istotę ludzką i obudzić w niej większą czujność instynktu samozachowawczego.

Wysokość, którą osiągnęli, jakkolwiek nie była jeszcze ostateczna, poiła już zawrotnością wyżyny. Przechodziły tędy ożywcze fale chłodnego i dość silnego wiatru, który, przelatując swobodnie przestrzenie pomiędzy oddzielnymi wierzchołkami, z hukiem i gwizdem rozbijał pierś swą o ostre granie i ściany skał, zsypując z nich miał i strącając w przepaście drobne kamyki. Słuch spotęgowany tu był do granic wprost absurdalnych. Najodleglejszej przestrzeni odgłos w obrębie gór słyszało się niby z odległości kilku kroków. Ryczenie trzód, dźwięk dzwonków, świegot ptactwa w dolinach, niezmiernie oddalone głosy ludzkie, szum potoków, wszystkie te odgłosy brzmiały tuż koło nas czarującą muzyką podźwięków. A było przemówić jakie słowo: zakołysało się, jak żywe, w wietrze, musnęło ucho słuchacza i uciekało czemprędzej dalej,

niby płochliwy motyl, łącząc się z pląsającą rzeszą chaotycznych dźwięków.

Trzej przyjaciele położyli się dla odpoczynku na ziami. A błogi to był odpoczynek gdzieś na wyżynie, do której stóp przyczołgiwał się cały świat nizin i gór, jakby mniejszych, bo rzuconych na rozległe tło widnokręgów.

— Pierwszy raz w życiu znajduję się na takiej wysokości. Wobec życia naszych bogobojnych nizin jest to cud, o którym nie śniło się najtęższym głowom. Ujrzawszy go, nawet wartogłów wyrosnąć może nagle ponad poziom swego wnętrza i posiąść wolę czynu — zauważył pierwszy.

— Albo przekonać się, co prawdziwa wolność znaczy — dodał drugi.

— Wszelkie instynktowne poczucie wielkości w człowieku pełnieje tu w żywy kształt i dusze ludzkie w jedno ścisłe łączy zespolenie — rzekł trzeci.

Wytchnąwszy nieco, ruszyli w dalszą drogę. Szeroki grzbiet góry, którym szli, zmieniał się stopniowo w wązką szyjkę, mającą z obu stron przepaście. Na dnie ich widniały połacie świerkowych lasów, obrastających rozległe wzgórza, czerniały ostre czuby rozlicznych skał, srebrzyły się krzywe linie potoków, przecinających głębokie wąwozy. Na końcu drogi, którą się posuwali,

piętrzyły się mnogie szczyty „Tumu“ z jednym najbardziej wysuniętym w niebo wierzchołkiem.

Jeden z turystów, owładnięty jakąś niepojętą mocą, wyprzedził kolegów i szedł sam odważnie naprzód, przeskakując zwinnie z głazu na głaz, patrząc śmiało w otwory odmykających się co chwila pod stopami czeluści, w których nieuchronna czatowała śmierć.

Wiatr mu grał w piersi, zbudzona nagle ze zwykłej odrętwiałości elastyczna siła w członkach nie pozwalała mu ani na chwilę przystanąć. Porwał go kompletnie zawrotny pęd wyżyn i w mgnieniu oka uczynił go swym żywiołem, dla którego pustą igraszką wszelkie niebezpieczeństwo. Sam duch gór — zda się — wziął go w swoją opiekę i niósł, niby na skrzydłach, w obranym kierunku. Wzniósł się tym sposobem na wysokość, z której grzbiet minionej góry wydawał się jakby przypłaszczonym, spłyniętym niejako z dolinnymi krajobrazami i ich turniami.

Dwaj pozostali dopiero właśnie teraz na czworakach dopełzali do stóp wzniesienia, na które wdarł się pierwszy z nich.

— Hop, hop! — zawołał, ale głos się dziwnie urwał i padł tępo w powietrze, zgnieciony, zda się, przez obszar pustej przestrzeni. Tylko wiatr gdzieś załopotał skrzydły i z rozmachem poszedł w górę na szczyt „Tumu“.

Kiedy dwaj jego koledzy zbliżyli się o tyle, iż jął go dochodzić głos ich rozmowy, postanowił iść dalej naprzód.

Wierzchołek „Tumu“ zdawał się już być blizko. Jeszcze pozostawało do przebycia kilka zwałów granitowych, poza którymi wznosiła się niemal prostopadła jego ściana ciemno szarej barwy. Skoczył z niezachwianą śmiałością, nie odrywając prawie oczu od fascynującego widoku tej olbrzymiej turni, której szczyt był celem właściwej wycieczki, gdzieś, jakby popod samo sklepienie nieboskłonu. Dwaj tamci posuwali się za nim krokiem ociężałym; znużeni byli i widocznie niechętnie szli, gdyż niejednokrotnie odwoływali go do powrotu. Ale nie słuchał ich, zniewoleni przeto byli podążać bezprzerwnie śladem jego.

Nadeszła wreszcie chwila, kiedy po przebyciu całej drogi znalazł się na urwistem zboczu „Tumu“, zgoła sam jeden, gdyż koledzy jego nie dotarli nawet do stóp. Doznawało się już tutaj zawrotu głowy i ogarniało jakieś niesamowite uczucie. Wszelka nizina z tlejącem życiem ludzkiem przestała jakby egzystować. Kompletne oderwanie się, pustka wiecznej przestrzeni, żadnego nigdzie oparcia dla wzroku, jakby się świat pod nami zapadł, jeden tylko koło nas i pod nami organizm gigantycznej skały, do której było się przylepionym, niby źdźbło, niby atom. Patrzenie w dół przyprawiało nietylko o

zawrót głowy, lecz magnetycznie chłonęło w siebie, ciągnęło nieprzeparcie tajemniczością. Miało się zdradliwą ochotę rozluźnić wszelką elastyczność swych członków, aby rzucić się na ślepo w tę rozwartą pod sobą otchłań dla zgłębienia jej nieprzeniknionej, zda się, tajemnicy. Należało też używać całego wysiłku woli, aby się powstrzymać od popełnienia tego szaleństwa.

Blizki już osiągnięcia wierzchołek „Tumu“, opłynięty żółtą lawą słońca, wydawał się tak bardzo śpiczasty, iż nie na żarty począł się zastanawiać nad tem, w jaki sposób zdoła się na nim ostać. Atoli niczem niezrażony, piął się z podziwu godną zręcznością i odwagą coraz wyżej, tłumiąc w sobie wszelką niesamowitość, którąby mogła osłabić go i napełnić omdleniem trwogi lub przerażenia.

Stanął wreszcie u celu.

Szczyt „Tumu“ stanowił jeden duży, na wysokość wzrostu ludzkiego, ostro zakończony głaz. Należało się nań tylko wedrzeć i sprawa załatwiona. Było to jednak przedsięwzięcie nielada, połączone z groźnem niebezpieczeństwem runięcia z olbrzymiej wysokości.

Zatrzymał się z pewnem wahaniem u stóp głazu, nie wiedząc, co dalej czynić. Aliści z poprzedniego rozpędu dużo w nim jeszcze zostało energii, która nie pozwalała mu poprzestać jedynie na tem, co dotychczas osiągnął. Postanowił,

gdy tylko nadejdą z dołu dwaj towarzysze jego, pokonać i tę ostatnią przeszkodę. Siadł na wystającym cyplu i począł oczekiwać ich przybycia. Po jakimś czasie, usłyszawszy łoskot usuwających się kamieni i szuranie stóp wdzierających się, przystąpił do dzieła.

Olbrzymi wysiłek mięśni, zimna krew, odwaga, kilkadziesiąt sekund wiszenia w powietrzu, jakby nad światem na jednej ręce, obchwytującej konwulsyą palców jakąś wypukłość na granicie... i szczyt, szczyt osiągnięty!

Siadł na owym głazie, spuściwszy w dół nogi i otarł spocone czoło. Z naprężenia wszystkich strun nerwów na chwilę osłabł, czego dowodem było znamienne drżenie całego organizmu.

Szedł kędyś wiatr pełną, bujną falą i z łomotem rozszczepiał pierś swą o granitowy wierzchołek, na którym trzeba się było trzymać z całej siły, aby nie pozwolić się zeń strącić.

Odetchnąwszy, zatryumfował. Oto znajdował się na najwyższym szczycie całego łańcucha gór, zatłaczających widnokręgi. Patrzące w dół oko znajdowało oparcie na mnogich czubach różnorakich turni, któremi nacentkowany był cały obszar okolicy. Jedne z nich jeżyły się czupryną borów świerkowych, inne błyszczały stalową szarością granitu lub ciemno-białą pstrokacizną wapiennego kamienia. Tu i ówdzie pąsowiła się

na niektórych ścianach skalnych purpura zachodzącego słońca.

W przepaściach i na ścianach odwróconych w inne strony świata leżały całe masy pełzających zmroków i rodziła się mgła, chociaż powietrze jeszcze jasne było i przejrzyste. Przestrzeń nieba, jak okiem sięgnąć, nieskalanej była czystości. Tchnęła tajemnicą ukrytych w swem łonie gwiazd. A hen, gdzieś za górami, daleko, stało już przeczucie mającej nadejść nocy, pełnej światła i intensywnej pogody.

Wzniosł błogosławiące dłonie i trwał tak w niemem uwielbieniu gór i przestworu. Zewsząd szła potęga olbrzymiego piękna i przenikała nawskróś do wnętrza jego, w którem rozpoczął się nagły ferment nieznanych dotychczas uczuć. Rozpadała się uprzednia jego ciasna dziewiczość, pierzchały zeń niedorostki myśli i marzeń, wstępowała natomiast pełna ciepła dojrzałość. I czuł się jakby zrośniętym z organizmem szczytu, na którym stał. Wreszcie — o, dziw! odnalazł go w swem wnętrzu, olśnionem jakby płodonośnym rozrodem. Otulił go i opieścił żywem gorącem całej swej istoty, rozprzestrzenionej na obszar, na jaki rozprzestrzenić może człowieka jego własna myśl i uczucia.

Narodził się w nim szczyt, który osiągnął.

Gdzieś z dołu doszły go nawoływania zbliżających się dwóch pozostałych towarzyszów.

Stosunkowo byli odeń jeszcze dość daleko. Dwie ich drobne postacie czerniły się na wystającym cyplu urwistego zbocza. Wywnioskował, że wspinać się wyżej nie mają ochoty, czy też odwagi. Z ich zaś nawoływań zdołał zrozumieć, iż chcą, aby zeszedł ku nim czemprędzej ze względu na noc, która w górach zapada nader szybko. Wszelako nie stropił się tem ani na chwilę i trwał dalej w swym błogostanie, nażywiającym wnętrze jego mocą świeżą, żywiołową.

Był w tej chwili człowiekiem, któremu jakby przypłaszczone pokorą legły u stóp obszary świata.

Przeżywał chwilę, kiedy wstępuje w ducha pierwiastek boskości i przenika go swym gigantyzmem, nie pozbawiając go jednak ani na chwilę człowieczeństwa, znaczącego się poczuciem braku tej czynnej mocy twórczej, która w szale rozrodu powierzchnie ziem zbałwania w góry, a morzami nalewa bezkreśne perspektywy światów.

I to poiło świadomością własnej bezsilności i napawało lękiem, iż czemuś, tak bardzo olbrzymiemu, nie należy patrzeć twarzą w twarz.

Ale przepełniały go jakaś zuchwała pycha i tęgość, wykorzeniające wszelką trwogę.

Gwałtownem prężeniem członków pędził w żyły nadmiary pobudzonej energii, dyszał, jakby całym ogromem rozwartej przed nim prze-

strzeni, wyzywał żywioły i tworzył je po raz wtóry grą wysilonej wyobraźni.

A na obszarze jego wnętrza kolebał się kolosem swego organizmu szczyt „Tum“.

On to go wynosił i parł ku ogromom.

Nawoływania powtórzyły się znowu. Były to ledwie słyszalne szemrania w wietrze. Rzadki mrok szedł już ku szczytowi. Wydawało się, iż cała nizina podnosiła się w górę, jak jedna czarna wielka pokrywa.

Zejście stąd było trudne i nad wyraz niebezpieczne.

Uczepił się rękami powierzchni głazu i całym ciężarem ciała spuścił się w doł, szukając dla nóg oparcia. Ale napróżno. Wszędy była pustka. Kroplisty pot wystąpił mu na czoło — nie tyle z wysiłku, ile raczej ze zgrozy. Przytem zauważył, iż zsunął się z głazu nie po tem samem miejscu, po którem wstępował. Tam można się było jeszcze o co zaczepić. A tu przeciwnie: ściana głazu uciekała z podeń, jako że wklęsła była, jakby poderwana.

Zamroczony trwogą umysł rozjaśniał nagle świadomością, iż pod stopami w głuchej otchłani pustki leży cała okolica, na którą stąd spaść można było z łatwością, jak z nieba.

Od stóp do głowy pochwyciło go omdlenie, w dołku pod klatką piersiową zapiekło stra-

szliwie, w oczach stanęły duże płomieniste plamy. Ręce, zgięte dotychczas w łokciach siłą muskułów, jęły się zwolna wyprostowywać, cały organizm począł wiotczeć, bezwładnieć, osuwać się coraz niżej i niżej.

I straszne rodzi się cierpienie i straszny żal wszystkich i wszystkiego.

I mimowoli powstaje w mózgu pytanie, czy należało przeciwstawiać się żywiołowi.

Młotami walą pulsy, krew w żyłach bulgoce i krąży szybko, umysł zasnuwa się mgłą jakiegoś zawiłego szaleństwa.

Na krańcu ostatecznego wysiłku chwyta chęć wygodnego puszczenia się rękami, byle tylko skrócić męki wlokących się, jak wieki, chwil niebezpieczeństwa.

Runąć, poprostu runąć z tego dachu świata w dół...

Mózg się wypełnia przenikliwą szarością, obchwytuje go słodycz zdradliwego, pozornego uspokojenia.

Szczyt spycha!

Ale oto ostatni błysk samozachowawczej świadomości, gardło zdławione rozpaczą i sprężysty rzut całym organizmem gdzieś w bok, gwałtowny przegib — i skok na ślepo...

Trafił na grunt. Wszelako wzruszenie i spodziewane większe niebezpieczeństwo tak go o-

słabiły, iż zachwiał się na nogach i padł na kamienie bez sił i czucia...

Zaśmiała się urągliwie przestrzeń, zastękał groźnie „Tum“, i wiatr się zerwał i z jękiem i świstem poszedł górami, niby gniewny jakiś duch zniszczenia.

Było to jakby na poskromienie ludzkiej zuchwałości.

Wstał wreszcie i po upływie pewnego czasu połączył się z kolegami. Uczuł się spokojnym i niemal szczęśliwym, widząc ludzkie koło siebie twarze. Zdawało mu się, że powrócił do życia po chwilowej śmierci. Powiało nań ciepłem istnienia.

Patrzyli nań w zdumieniu.

— Byłeś na szczycie!

— Tak, byłem — odparł, — ale wierzajcie mi, że to jeszcze nie t o...

KONIEC.